

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 28 GRUDNIA 1929 ROKU

NR. 52

TREŚĆ NUMERU: Przeszkolenie — *Marja Beniśawska*. „Rodzina Wojskowa” — *N. J. Zawalidroga* (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. W starym zamczysku (dok.) — *Zofja Reutt-Witkowska*. Wystawy dwóch malarek — *I. j. Ś. p. Amelja Bortnowska* — *P. Restorffowa*. Życia muzycznego — *P. L. Z teatrów* — *S. P. O. Z sali odczytów*. Książki nadesłane do Redakcji. „Bluszcz” w roku 1930. Kobieta w świecie i w domu. Sporty zimowe — *Dr. Marja Kłosińska*. Nasza choinka — *E. K.* Reorganizujmy nasze ogniska domowe — *mar-mor*. Zupa, czy legumina — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i Roboty: Suknie wieczorowe — *Well*. Dodatek powieściowy: „Wieczór wigilijny z ogłoszenia” (dok.) — *Nana Zoe*. Tablica kroju.

PRZESZKOLENIE

Jesteśmy narodem, który przeszedł możliwie najgorszą szkołę.

Ubiegły czas niewoli, podziału, prześladowania, zakończony wspaniałą, bohaterską — ale wojną — ale właśnie upustem najbardziej bohaterskiej krwi — czyż to nie dosyć?

Jeżeli uświadomimy sobie, że odruchy psychiczne, afektywne i umysłowe tak samo mechanizują się, jak reakcje fizyczne, że z pełni świadomości pograżają się w podświadome, aby tem pewniej i tem sprawniej pojawić się, jako reakcja na znaną pobudkę — to jasnym się stanie, że mamy i my, naród polski, pewne nałogi afektywno-umysłowe, z nowym naszym dziś bytem narodowym niezgodne, do rozwoju wolnego obywatela niepodległej Ojczyzny źle dostosowane.

Takich przeżytków psychicznych nagromadziło się u nas z konieczności bardzo dużo, więcej, niż zdrowy organizm narodowy może znieść, czas przeto wielki na przewartościowanie i... rzecz poważnie trudną, gdy chodzi o złe nałogi psychiczne — na przeszkolenie duszy polaka.

Złe nałogi — dlatego przedewszystkiem złe — że nałogi. Źródło ich — uczucia i myślowe podłoże — mogło być kiedyś najszlachetniejsze, najwznioślejsze bohaterskie, ale zachowanie ich teraz — przez inercję — teraz, gdy warunki bytu i rozwoju najkrańcowiej się odmieniły, stać się może poprostu zbrodnicze.

A my właśnie w bardzo wielu dziedzinach wkroczyliśmy w nowe życie z przestarzałymi nawykami, z nawykami cierpiętnictwa, konspiracji, krańcowej niepraworządności, skłócenia nie tylko z byłymi prześladowcami, ale i wewnątrz, z rozdartymi, a jeszcze nie umiejacemi się zjednoczyć psychicznie, dzielnicami własnej Ojczyzny.

Wróg nas podzielił przed półtora wiekiem — dziś się dzielimy sami!

Wiem, że sfery rządzące usiłują temu przeciwdziałać. Jednolite prawodawstwo, sądownictwo, niewątpliwie wywrą swój wpływ. Mniej nadziei osobiście pokładam na sposobach, iż tak rzekę, „mechanicznego” zacierania różnic i poróżnień dzielnicowych, przez wysyłanie masowo urzędników, a przedewszystkiem nauczycieli szkół powszechnych — z jednej dzielnicy do drugiej. Na tem tle — zwłaszcza, gdy dzielnice mniej kulturalne, o warunkach pracy najcięższych, uważa się za miejsce „zesłania” dla jednostek, zasługujących na degradację, więc conajmniej niżej wartościowych — powstają właśnie antypatje i uprzedzenia wzajemne.

Wojenne czasy i tak już dużo się przyczyniły u nas do przeniknięcia dzielnicowych waśni do warstw ludowych. Z jednych dzielnic do drugich, zwłaszcza ku Kresom Wschodnim, płynęła fala t. zw. „uciekierów” — ludzi, wyrzuconych jakoby za nawias życia, zdemoralizowanych nędzą, podobnych do stada zgłodniałych wilków, niosących ze sobą pożar, rabunek, choroby... Taka „reprezentacja” dzielnic środkowych nie mogła nie wywrzeć wpływu wprost fatalnego.. A partyzantka?... Żołnierz głodny i niedziany... To były konieczności wojenne, ale to też nagromadziło szalone zaległości w pracy, skierowanej do odrobienia tego, co się stało w dni pożogi.

Parę lat temu, przejeżdżając raz w Nowogródkiem całe zwały skłębionych drutów kolezastych, zachwaszczających zieloną przestrzeń okwitłego „łuhu”, wzięłam je narazie za nietrzebione po łące zarośla... Dziś mam te rozwleczone przez wojnę ciernie, nie-

przerdzewiałe dotąd nieuprzątnięte — za obraz powojennej psychiki ludzi...

Tak, jak zdobyliśmy się na tytaniczny wysiłek, wyzwalając się z pod przemocy zewnętrznej, tak musimy jeszcze raz zdobyć się na wysiłek, uważany za mniej zgodny z naszym polskim temperamentem, wysiłek zmuśnionej pracy wewnętrznej wyzwolenia się ze spętania uprzedzeń i złych nawyków psychicznych.

Zdaje mi się, że jest to pole pracy i zasługi dla kobiet polskich, których psychika niewieścia więcej by się tu nadawała i mogła wogóle być czynnikiem doskonale uzupełniającym bohaterskie porywy męskiej części narodu.

Powinnyśmy więc przede wszystkim obalić psychiczne opłotki i... kolczaste druty wojenne międzydzielnicowe, odnosząc się nawet do nabytych przez lata niewoli wad i usterek — miłośnicie, opatrując je i lecząc, jak rany, odniesione na polach bohaterskich bojów.

Powinnyśmy — my, żyjące pokolenie, pracownice bohaterskiej ongi konspiracji, przeszkolić pokolenie już wolnych ludzi w duchu cywilnej odwagi i jawności poczynań, przystojnych wolnemu społeczeństwu.

Powinnyśmy mocno stanąć same na stanowisku poszanowania prawa i w tym duchu młodzież naszą wychowywać od dziecka. Tu specjalnie na tle czasów niewoli powstały horendalne, nie dające się łatwo usunąć, nałogi myślowe.

Jaskrawo występuje nasz, w dalszym ciągu nawskroś negatywny, stosunek do praw, przepisów, podobnie, jak do organów wykonawczych państwowej władzy, gdy porównamy tenże stosunek u innych narodów, nie zdeprawowanych niewolą. Przed wojną spotkałam raz angielską na skromnym stanowisku *dame de compagnie* w zamożnym polskim domu. Przywitała mnie z podwiązaną szczęką, blada: trzy noce bezsenne, wściekły ból zęba.

— Czemu pani nie pojedzie do miasta, do dentysty? Mamy dobrych dentystów...

Dowód osobisty, ówczesny pasport bez fotografii, wysłany do wizy, ugrzązł w urzędzie. Wszyscy — na wybór — ofiarowujemy się pożyczyć własny pasport. Nie stawać w hotelu, gdzie nas znają... i będzie dobrze!

Angielka patrzy na nas — osłupiała, zgorszona:

— Ja... miałabym postąpić wbrew prawom państwa, w którym przebywam i zarabuję?!

Tłumaczymy jej na wyścigi naszą polską psychologię: to rząd zaboreczy, wrogi, nie jesteśmy obywatelami tego kraju, nie czujemy się do żadnych obowiązków, tak, jak nie mamy żadnych praw, żyjący pod przemocą.

Angielka chwieje głową melancholijnie.

— Ale polacy wierzą, że kiedyś... przy zbiegu jakichś pomyślnych okoliczności, ojczyzna ich odzyska niepodległość? Tak przynajmniej myślałam...

— Bo tak też jest! Wszyscy — jak jeden mąż!

Angielka chwieje głową, melancholijnie.

— Skąd wtedy w Polsce waszej zjawi się nagle typ polaka-obywatela?... Takich trzeba wychować, a bez tego...

Tak. Trzeba sobie powiedzieć jasno i wyraźnie: bez tego nie ostoi się niepodległość narodu. A więc, musimy przeszkolić całe obecne pokolenie — wychować jaknajrychlej typ obywatela wolnej ojczyzny.

To jeszcze nie weszło w naszą krew. Jeszcze żyjemy w oparze psychologii niewolnika: afektywnie, po dawnemu, rząd dla nas jest wrogiem, z którym o tyle mniej się liczymy, o ile mniej groźne są represje. W państwie polskim sklepikarz małomiasteczkowy najspokojniej objaśnia swych kundmanów-polaków — że ma obfity wybór towaru... w mieszkaniu... ..nie sposób w sklepie trzymać wszystko jawnie, ze względu na podatki...". Niema obawy, nie zbojkotują go, nie zadenuncjują! przecież „donosiciel” — to renegat, pohańbiony na wieki... Oszukiwanie własnego państwa — uchylanie się od obowiązków, które ono nakłada — nietylko przez „mniejszości” uważane jest w dalszym ciągu za godziwe.

Co prawda, walnie przyczynia się do tego nasz stan powstawania z chaosu, z którego jeszcze i nasze metody rządzenia nie wyłoniły się całkowicie. Wszystko to u nas jest chwiejne, nieustalone, zbyt nowe i tworzone nagle, nieulożone w prawidłowy bieg.

Przychodzi mi na myśl pewna zasłyszana rozmowa. Moja znajoma, z Kresów Wschodnich, doszczętnie zrujnowana, ale przystosowująca się już nieźle do nowych warunków bytu, znalazła sobie pracę zarobkową. Przyszła zasięgnąć rady pewnego, znanego z prawości i patriotyzmu, tak, jak ona, obywatela.

— Pani, ja powinnam przecież płacić pewien podatek... jak to uczynić, obliczyć... uiścić?... wszystko tak nowe, pojęcia o tem nie mam!

— Niech to pani tak bardzo nie zawstydzają... Ja wciąż płacę podatki... i konstatuje raz po raz, że urzędy płatnicze u nas są tak samo, jak pani, słabo uświadomione. Sam, składając zeznanie o dochodzie z majątku, poparłem je najuczciwiej książkami rachunkowymi, prowadzonymi klasycznie, a oto wymierzono mi podatek przeszło trzykrotnie większy od należnego. Odwołam się do Izby Skarbowej, będę skarżył do Trybunału Administracyjnego... kiedyś... wygram. Fakty żądań, *dziesięciokrotnie* przewyższających należność, nie są sporadyczne! Więc... radzę pani... ma pani 2500 zł. rocznego dochodu... trochę więcej?... Rocznie niech pani prześle na rzecz jakiejś instytucji, bezwzględnie pożytecznej, 100... 120 zł., no... i niech pani nie zaczepia urzędu Skarbowego...

Należało się zgorszyć takim deprawowaniem prawej obywatelki przez obywatela, który był znany z uczciwego, bo ofiarnego stosunku do państwa — i zgorszyłam się; ale mię zasypiano faktami... dowodzącymi, że cnota obywatelska w młodym państwie naszym nie jest „rzeczą łatwą, ani małą”...

A więc: caveant, consules! *Marja Benistawska.*

RODZINA WOJSKOWA

W d. 8 grudnia „Rodzina Wojskowa“ obchodziła uroczyste doroczne swoje święto. Zarówno w Warszawie, jak i w licznych Kołach prowincjonalnych, urządzono w tym dniu odczyty, koncerty i zebrania towarzyskie.

Stowarzyszenie „Rodzina Wojskowa“ powstało w lutym 1925 r. na skutek myśli, rzuconej przez Józefa Piłsudskiego — myśli o potrzebie zrzeszenia rodzin wojskowych we wspólnej pracy dla dobra ojczyzny.

Potrzeba zrzeszenia była widoczna i żywa: zdawano sobie sprawę z tego, że jeśli rodziny wojskowych nie przyłączą się do ogólnego wyścigu pracy, jeśli nie będą żyć życiem społecznym — wytworzą osobną, zasklepioną w sobie kastą, wyeliminowaną ze społeczeństwa.

Położenie pogarszały jeszcze niezwykle skromne, niekiedy wprost ciężkie warunki, w jakich rodziny wojskowych żyć były zmuszone. Zawód oficera wymaga bezwzględnie utrzymania pewnego poziomu w życiu jego i jego rodziny — sprawa bardzo trudna przy skromnym uposażeniu — to też w pierwszym rzędzie trzeba było pomyśleć o rozwinięciu jaknajdalej idącej samopomocy.

Rozpoczęto od najważniejszego: od zapewnienia matkom taniej i fachowej pomocy w wychowaniu dzieci.

Dorobek „Rodziny Wojskowej“ jest w tym kierunku, po czterech latach, bardzo już pokaźny: posiada ona 60 przedszkoli, kilka szkółek, letnie uzdrowiska w Rabce, Busku i Ciechocinku; obecnie zaś rozpoczęto organizację opieki nad niemowlętami, oraz nadzoru nad starszą, uczącą się młodzieżą, dla której zakładane będą świetlice.

Drugim zadaniem Stowarzyszenia stało się ułatwienie członkiniom zdobycia wykształcenia zawodowego, bądź dla celów zarobkowych, bądź też, jako umiejętności, mającej zastosowanie we własnym domu. Powstały zatem kursy robót, kroju i gospodarstwa domowego.

Nie zapomniano też o podniesieniu sił fizycznych i rozwijaniu sportów wśród członkiń. „Rodzina Wojskowa“ organizuje we wszystkich niemal swych Kołach lekcje jazdy konnej, tenisa, szermierki, pływania, narciarstwa, łucznictwa; zakłada obozy letnie i uzdrowiska.

Jednym z największych starań jest obecnie przygotowanie członkiń do obrony kraju — przysposobienie wojskowe. Praca ta, rozpoczęta niedawno, spotkała się z wielkim uznaniem i zrozumieniem wśród członkiń i rozwija się doskonale.

Ważną sprawę podjął też ostatnio zarząd naczelny: organizację wydziału kulturalno - oświa-

owego. Rozwój intelektualny, wysoki poziom kulturalny powinny cechować rodzinę oficera, bo zespół tych rodzin należeć musi do elity duchowej społeczeństwa.

Jakże trudno jednak nieraz o utrzymanie i rozwój tej kultury w skromnych warunkach materialnych, w dalekich zakątkach prowincji i Kresów! Jak zdobyć możność kształcenia się, wybór pism, książek i rozrywek artystycznych? Dotychczas Koła prowincjonalne „Rodziny Wojskowej“ ogniskowały wszystkie swe wysiłki w kierunku poprawy bytu materialnego, to było najpilniejsze; z chwilą jednak uruchomienia już wielu prac w tym zakresie, można będzie pomyśleć o rozwoju innych.

Będzie to właśnie zadaniem Wydziału Oświaty i Kultury. W Warszawie rozpoczęto już tę pracę organizacją kursów języka francuskiego dla członkiń. Każde Koło prowincjonalne otrzymywać będzie od wydziału kulturalno-oświatowego instrukcje, rady i pomoc w tym kierunku pracy. Wspólnymi siłami zrobić można wiele rzeczy, dla jednostki niedostępnych, jak czytelnice pism i książek, organizacja przedstawień i koncertów, wycieczki i kursy.

Praca ta wyda napewno pokaźne rezultaty, Rzeczpospolita, jak długa i szeroka pokryta jest Kołami „Rodziny Wojskowej“, liczba ich (53 Koła, całkowicie i racjonalnie zorganizowane) wskazuje, że znajdują się one w mniejszych nawet ośrodkach. Każde z Kół wnosi nowe zagadnienia i zainteresowania, podejmuje nowe prace. „Rodzina Wojskowa“ stara się ująć całość życia społecznego.

Nie można tu pominąć jeszcze jednej ważnej inicjatywy, która, podjęta przez grono członkiń „Rodziny Wojskowej“, przybrała bardzo szerokie rozmiary: to reforma kodeksu honorowego, w myśl pełnego równouprawnienia i uznania kobiety za odpowiedzialną honorowo. Zawiązek tej sprawy powstał w Rodzinie Wojskowej, członkinie jej odbywały pierwsze narady, z których wyłonił się Komitet organizacyjny „Ligi Reformy Postępowania honorowego“; one to śmiało i dzielnie podtrzymywały zasadę, że kobieta nie może być uznawana za małoletnią i winna sama bronić swego honoru, i propagowały tę ideę w społeczeństwie, w którym znalazła szeroki oddźwięk.

Ta inicjatywa, która staje się „Magna Charta“ pełnego równouprawnienia kobiety, powinna być zapisana złotymi literami w dziejach rozwoju „Rodziny Wojskowej“.

Otacza ją dziś uznanie i zainteresowanie całego społeczeństwa. „Rodzina Wojskowa“ jest droga i bliska wszystkim, którym bliskie są sprawy, dotyczące polskiego wojska.

N. J.

HERMINJA NAGLEROWA

34)

ZAWALIDROGA

(powieść)

— Jest w istocie cudowna!—powiedział z umyślną emfazą i na moment sam siebie zniechęcił. Natychmiast też spotkała go kara za kłamstwo, bo Wawar spojrzawszy na niego, jak wróg, a Hanka zaśmiała się złośliwie i domyślnie. Franek musiał więc stwierdzić, że chyba już zawiele nacierpiał się z powodu tej Maryny, a teraz znowu wyrastała, jak uporcezywy chwast między nim i Wawarem. Pocieszał się tylko tem, że Wawar miał się przenieść do Warszawy. Nawet się trochę przechwalał, że ofiarowano mu dobrą posadę w „Kurjerze“. Jak o największym szczęściu, marzył teraz Franek o przyjaźni Wawara. — Taki mądry — myślał — taki już dojrzały! — Wszystko, co wyczuwał, jako swoją wartość, ta cała własna „niepospolitość“, z której nie mógł dotąd nikomu się zwierzyć, wydawała się, niby nagromadzony skarb dla użytku wspólnej przyjaźni. Uśmiechnął się więc do niezycyliwych oczu Wawara:

— Bardzo dobrze, że pan zostanie w Warszawie!

Ale Wawar odwrócił się od niego plecami i już wyłączenie rozmawiał z Hanką.

XXXIII.

Na drugi dzień rano musiała Marta kupić wszystkie dzienniki i Franek karmił się *petitem* wzmianek o turnieju. Z pomierzwionym plikiem gazet pobiegł do matki, która od kilku dni leżała w łóżku. „Rozbierał ją katar“ według *diagnozy* Marty.

— Cieszysz się, matko poety?

Franek roztańczył się po pokoju i stroił komedjanckie miny. Niby to już stał na cokole z ręką za klapą surduta.

— Cieszysz się? Powiedz, jak się cieszysz?

— Bardzo, bardzo — zapewniała.

Franek nie zaraz dostrzegł, jak mocno się zmieniła w chorobie i dopiero, gdy stanął blisko, zobaczył blade usta matki, które, rozciągnięte w mdłym uśmiechu, wysilały się na zdawkowe i bezbarwne słowa. Żółty cień na brodzie zachodził ku skrzydłom nosa, takie same żółcizny przylgnęły do skroni, a policzki były wiotkie i szare. Złote włosy, zlepione w strąki, kołtuniły się na zmiętej poduszce, koronki u koszuli opadały w żalosnem zaniedbaniu — tak było, jakgdyby ją ktoś wgniół w pościel i przysypał popiołem.

Poraz pierwszy w życiu Franek zaniepokoił się o matkę i w mrocznym pokoju stało się duszno od złych przeczuć.

— Co ci jest? Czy był doktor?

— Tak źle wyglądam?

Sięgnęła po lusterko i wpatrywała się długo ze zmarszczoną brwią.

— Można już być starą, Franku, gdy się ma takiego dużego syna.

Tak właśnie mówiła, jak to sobie niejedną raz myślał w gniewie. Więc teraz zabolęły go jej słowa, jak wymówka, i w poczuciu winy zaprzeczył pośpiesznie. Sama przecież wie, że wygląda młodo, że jest śliczna. Była doprawdy pierwszą kobietą, której prawił grzeczności i komplementy, a czynił to tak nieumiejętnie, że Zofja musiała się śmiać.

— Koledzy nigdy nie chcieli wierzyć, że ta panielka jest moją matką. Nie masz pojęcia, jak się złościłem, kiedy mnie podejrzewali, że jesteś moją — chciał powiedzieć „dziewczyną“, ale myślał, że się obrazi.

— Masz bardzo niemądrych kolegów.

Lecz choć tak mówiła, Franek widział, że różowi się z zadowolenia, że jej to sprawiło przyjemność. Oh, jakże dobrze było, że mógł ją tak pocieszyć! Należało jeszcze coś wymyślić, jeszcze coś miłego.

— Poleżysz parę dni, a jak będziesz zdrowa, pojedziemy na spacer, a nawet wiesz, wybierzemy się na ślizgawkę. Już o tem myślałem, że trzeba ci jakiejś rozrywki.

— Myślałeś o tem? — mocowała się ze łzami, żeby nie poznał, jak bardzo cierpi. Bo to, co tu mówił, było przecież potwierdzeniem całej jej nędzy. Teraz litował się już nad nią syn i rozważał sobie jej opuszczenie.

— A dziś tak się urządzę, żeby cały wieczór być z tobą, żebyś tu sama nie leżała.

Jakże ją męczył, jak poniżał swoją obowiązkową, synowską dobrocią! Napewno myślał o niej: biedaczka, trzeba się nią trochę zająć. Więc tak już było źle, że szła pod opiekę syna, niby na łaskawy chleb?

— Dziękuję ci, ale masz pewnie jakieś swoje sprawy. Trzeba wszystko zrobić i osiągnąć, gdy się jest młodym. Zapamiętaj to sobie, Franku! — Wywyższała się sentencjami, aby mu okazać, że to ona właśnie musi jeszcze troszczyć się o jego niedoświadczenie.

— Mam czas! Liczę dopiero dziewiętnaście lat i już o mnie stoi w gazetach! — Znowu był jakby narzmiął swoim zwycięstwem.

— Trzeba jaknajwięcej osiągnąć w młodości — powtórzyła, choć wszystko w niej protestowało przeciw tej krzywdzącej prawdzie. A może właśnie — nieprawdzie? Bo przecież nawet w tej chwili, gdy

sprawdzała w lustrze plamy i zmarszczki, czuła się jeszcze zdolna do wabiących uśmiechów i spojrzeń. Nie, nie rezygnowała ze swoich pragnień, choć syn posyłał ją już na emeryturę.

— Mamo, mamó! — krzyczał Franek, zasłaniając uszy — nie lubię, gdy tak mówisz zanadto mądrze, jakbyś czytała z książki. I wcale nie potrafię odczuć tego, co mówisz. Mam nawet wrażenie, że coś udajesz, żeby mi nie powiedzieć swojej prawdy.

Na chwilę stropił się, że tak pół żartem wypowiadał wszystko, czem się dotąd gnębił. I to wcale nie w porę, bo pewnie sprawiał przykrość matce. Jakgdyby pastwił się nad nią, dlatego, że jest chora.

— Jesteś zanadto pewny siebie — skarciła go, ale jednocześnie wiedziała już, że syn miał ją zawsze na oku i więcej o niej wiedział, niżby tego pragnęła. I dlatego postanowiła, że cokolwiek teraz będzie się działo w jej życiu, cokolwiek będzie się działo z nią, zatai jeszcze bardziej przed synem. Wielorakimi sposobami będzie się musiała bronić przed napastliwością jego podglądań. Bo przecież wcale nie potrzeba, żeby syn podpatrywał jej wysiłki, nie trzeba, aby obliczał jej klęski lub drwił z jej niełatwych sukcesów.

Zuchwalstwo Franka targnęło więc klamką, ale drzwi do tajemnic matki zamknęły się jeszcze mocniej i jeszcze wymyślniej opatrzone je zamkami.

Tego dnia powędrował jednak Franek ku przygodom, jak podróżny ku zielonym i radosnym oazom. Na wykładzie Szobera czarne oczy Hanki odszukały go życzliwie, bo dawna znajomość, sięgająca jakichś wieczorków w żeńskim gimnazjum, posiadała wartość tradycji. Ustalili to zresztą wczoraj w nocy, gdy Franek odprowadził Hankę do domu.

Mróz, jak zielona pleśń, pokrywał chodnik; latarnie w tiulowych zawojach mgły lśniły, jak zażawione oczy oblubienicy, a po szkle asfaltu cmokały koła samochodów. Szli tak, gotowi przemilczeć całą drogę, ale jakiś czarny przechodzień wgniół Hankę w ramię towarzysza. Szeptani, pocałowali ostro. Wtedy przypomniała mu Hanka ten wspólny oberek, trochę zanadto swawolny i nazajutrz napiętnowany srogimi admonicjami przełożonej. Śmiech nad kazaniem dostojnej damy wybuchał białym dymem oddechu i Franek, niby to bardzo żałując swojej winy, przyrzekał na przyszłość poprawę. Już dziś wcale tak dziko nie tańczy oberka i pewnie dostałby pochwałę od przełożonej.

Teraz na wykładzie potrzebne mu były porozumiewawcze mrugania Hanki i jej powściągany śmiech. Zabawiali się wyszukiwaniem swoich oczu wśród dziesiątków obcych, aż w pewnym momencie spięły się źrenice tak długo, że zastygły w skurczu powiek. Poczem tak samo obojgu zabarwiły się policzki krwią i łakomy grymas skrzywił usta.

Po wykładzie Franek wyrwał Hankę z grona koleżanek, żeby się pochwalić, „jak to o nim piszą w gazetach“. Czytając razem we framudze okna, łą-

czyli się przypadkowym dotykiem rąk, jakby najeżonych igłami. Od tego przedziwnego, kłującego bólu drętwiały ramiona i przygasały oczy. Zato uśmiech muskał wargi, niezem zmienny wiatr, a serce podrywało się upojeniem, aby już w tej chwili omdlewać w wyczerpaniu. I dlatego, cokolwiek mówili, grzęzło w szepcie, jak w aksamicie mchu.

Tak właśnie uradzili wymknąć się cichaczem z „budy“ i pójść sobie dziś na wagary — gdzieś po mieście, czy może do Ogrodu Saskiego. Ulica szła porannym gwarem, wysokie domy mieniły się kolorami, jak perłowa masa, a bezustanna radość wybuchała śmiechem aż pod zadymione niebo. W Saskim Ogrodzie haftowały się ażurem oszronione drzewa i mróz wiał suchym piaskiem po szerokich alejach.

— Lubię zimę! — krzyknęła Hanka i zaczęła biec. — Gońmy się!

Oczywiście, przegonił ją i w bocznej alei chwycił za rękę.

— A rękawiczki proszę zdjąć!

— Poco? Zimno.

Sam ściągnął jej grube włóczkowe rękawiczki i, trzymając za ręce nagie i ciepłe, pytał z nieprzytomnym uporem:

— Czy zimno? Czy naprawdę zimno?

— Pierścione! — jęknęła.

Ale Franek ścisnął jeszcze mocniej.

— Boli?

Teatr Letni ukrył ich przed ludzkim okiem, lecz właśnie dlatego spłoszył się śmiech. Spojrzeli na siebie nieufnie.

— Tak przecież nie można — wyrwała mu rękę

Czarne oczy były blisko, jak wiśnie na niskiej gałęzi.

— Niema tu przełożonej — powiedział głupio Franek. — Nikt pani nie skrzyczy, nikt nie ukarze, choćbym był jeszcze bardziej niegrzeczny.

— Ale nie trzeba — jej wargi gięły się już w płaczu. — Proszę mnie puścić, bardzo proszę.

Tak go rozczuliła prośbą i bezsilnością, że odrazu posłuchał, a widząc jej czerwone, małe rączki i palce, sklezione od uścisku, ucałował obie ręce właśnie w dłonie, skurczone i miękkie. Wtedy ręce Hanki opadły, jak porażone. Nic już z sobą nie mówili, nawet nie patrzyli na siebie, idąc zdaleka i jakby z osobna. Dopiero na Fredry Franek podszedł bliżej i powiedział:

— Bardzo panią przepraszam.

I tyle zyskał, że nosek Hanki jeszcze głębiej wgrzebał się w szare futerko kołnierza.

Przed uniwersytetem Hanka pożegnała się bardzo uprzejmie, ale pewnie się gniewała, mimo obiecującego: — Dowidzenia jutro na wykładzie!

Na filarach bramy uniwersytetu wisiał jeszcze turniejowy afisz, niezdolny już dziś zgnębić ani jedną literą. A nawet to wszystko dobre, co wynikało z tej żółtej plachty, nie cieszyło w tej chwili tak bardzo,

bo inna radość, niby jaskrawą i kwiecistą kotarą zasłoniła wczorajszy triumf. Była to wciąż jeszcze przytomna radość rąk, które skrzywdziły drobne palce Hanka.

Franek, mijając bramę uniwersytetu, zajrzał we soło aż pod portal Biblioteki. Pod wielkimi drzwiami stała Hanka, zwrócona twarzą ku niemu, i odkiwnęła ręką na jego ukłon. Włóczkowa rękawiczka, niby szary wróbel, podlatywała nad wysoko podniesionym ramieniem.

— Hanka! — powiedział prawie głośno.

Ale teraz, doprawdy, musiał się spieszyć, bo umówił się z Wawarem w „Italji“.

Wawar przeczytał już wszystkie dzienniki i tygodniki, nawet sportowe, choć niewiele się na tem rozumiał. Był więc jakby zaspany od tego czytania i skąpił słowami. Trzeba go było znowu osaczać i znowu zdobywać, mimo, że wczoraj już tak dobrze się poznajomili. Wzruszał dziś Franka swoim mizernym wyglądem, źle związanym krawatem i biedotą kiepskiej surduciny. Wargami, jakby odwykłymi od jedzenia, skubał Wawar bułkę i tak żałośnie rozglądał się po sali, jakby go martwiły panie, pijące ze smakiem czekoladę, albo panowie, rozważający półgłosem jakieś odległe, kupieckie tematy.

Między filarami ważył się niebieski dym papierosów, niby kadzidło w świątyni, aromat espresso gęstniał w powietrzu, a Wawar milczał, jakgdyby wszystkie pytania Franka niegodne były jego uwagi. Franek myślał zgnębiony: Dlaczego on mnie tak nie lubi? — I obliczał swoje domniemane przewinienia: — Czyba nie jest zazdrosny?

— Nie przyzwyczaję się do tego miasta! — Wawar powiedział to niespodzianie, jakby z pretensją do Franka.

Potem już bardzo szczegółowo zaczął mówić o swojej posiadce, bo dziś właśnie podpisał umowę. Będzie tak zwanym „nocnym redaktorem“ i wcale nie wie, czy temu podola.

— Trzeba sobie wyobrazić, że mieszkam w Ameryce. Rozumie pan: noc będzie dniem, dzień nocą, jak tam.

Trapił się także kwestją mieszkaniową i mówił o sobie, że jest nieudolny, niepraktyczny, a już w tem obcym mieście napewno nie da sobie rady z codziennymi sprawami.

— Pomogę panu! — Franek ucieszył się, że może będzie mu potrzebny, może mu się na cośkolwiek przyda.

— Chciałby pan trochę mną się zaopiekować?

Odrzucał się ożywił i odrzucał warunki, żeby mieszkanie było ciche, bo przecież musi w dzień odespać zarwane noce, żeby było słoneczne i nie wy-

żej drugiego piętra, chyba z windą i, oczywiście, niedrogię i niezbyt daleko od redakcji. Już się tem denerwował, jakgdyby go każdy chciał skrzywdzić. a wszystkie życiowe niewygody tylko jemu były prze znaczne. Więc dzieci, które hałasują, egzercyje fortepianowe, źle funkcjonujące piece — a Franek musiał mu obiecywać złote góry. Cierpliwie słuchał tych narzekań, przewidujących wszystkie katastrofy, i był szczęśliwy, że Wawar mu się powierza.

— We Lwowie miałem przyjaciół, którzy o mnie dbali. Bo rodziny nie mam. Opowiedział mu, że jest znajdą, czy bękartem, jak kto woli, i tak go w przytułku wychowali na niedorajdę życiowego. Bo niby to był zdolny i z czyjejs tam łaski oddano go do szkół. Innych chłopaków do terminu, a jego do szkół. Więc tamci byli powaleni sadzą, mieli grube, czerwone ręce, a on delikatnie przy książkach, książkach i jeszcze raz książkach. I w starym, podarowanym mundurku. A potem, gdy już zdobył maturę, powiedziano mu: — Teraz, chłopcze, idź już sam, radź sobie. — Poszedł na uniwersytet, jak w dym, i, gdyby nie przyjaciele, byłby chyba zdechł na ulicy.

— Wiecie, wtedy dopiero poznałem ulicę, bo choć z niej pochodzę, choć mnie z niej podjęli podziutka w przemoczonych pieluszkach, to właśnie ta ulica, ta ulica...

Po chwili błysnął zębami:

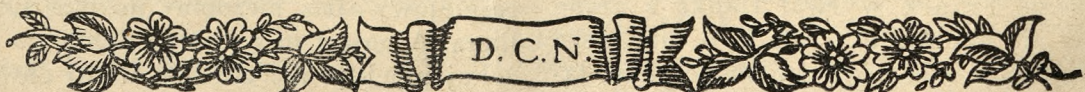
— A wy co? Tatuś, mamusia, piękne meble, kołderka? — Śmiał się uragliwie.

Franek nie oburzał się, był raczej wzruszony, że Wawar chce o tem wiedzieć, że go to obchodzi. I natychmiast, niby na rozkaz, wyjawil Wawarowi, jak to z nim jest. Nadawał jednak swoim słowom męski hart i nawet trochę sztychował z siebie, że tak się tem dawniej przejmował. Przed Wawarem, którego życie było tak inne, tak o wiele cięższe, nie śmiał popisywać się swojemi cierpieniami. Owszem, niech Wawar sądzi, że mu jest dobrze, że jest ta właśnie ciepła kołderka. Trzeba, żeby Wawar myślał, że jemu jest łatwiej na świecie, żeby miał odwagę i prawo przygarnąć się do niego. Jakaś realną wartość musiał przecież ofiarować Wawarowi, aby go zatrzymać przy sobie.

Gdy potem szli Nowym Światem ku Chmielnej, gdzie w pensjonacie mieszkał Wawar, padał śnieg suchy i nieważki. Na rzęsach osiadały zimne pyłki i znikaly natychmiast, wchłonięte ciepłą powieką. Wawar zwrócił do Franka twarz siwą z mrozu i wargami, błękitnymi, jak kwiat lobelji, wyszeptal:

— Któżby to powiedział jeszcze wczoraj, że będziemy przyjaciółmi. Zupełnie inaczej o was myślałem.

— I ja... ja tak samo — powiedział Franek i zachłusnął się śniegiem.



ZOFJA REUTT-WITKOWSKA.

W STAREM ZAMCZYSKU

fragment powieści: „Rycerze Pojutrza“.

— Pani... więc to Wy? — zadziwi się ów naiwnie.

— Ja, Fulku Srebrny.

Milczą, wzruszeni, oboje.

— Znacie go, pani? — zdumieje się pan zamku.

— O, to było dawno, dawno...

A wtem wejdzie z klejnotem nieznanym dzieśnik:

— Pijany leży Piotr, Garbusiów syn, jenom w skrzynce z żony pomocą klejnot znalazł, choć mi się cenny nie widzi zgoła!

Naramiennik srebrny, dziwną plecioną robotą, niebieskimi sadzon kamuszkami.

Wyciągną ręce wraz — Anna i Fulk.

Stary naramiennik wschodni. Chwilę waży go w rękę pani Anna. Fulkowi zwróci.

— Tak, panie, to dawno było. Upominek to mój, dziecku niegdyś, na drodze spotkanemu... sierocie, w jasną Palmową Niedzielę...

— Hm, hm! Malujże mi acan kaplicę! Jeno po Trzech Królach, zrozumiano?!

— Bóg zapłać! — uśmiechnie się staremu Fulk przesłodkim uśmiechem Pana Chrysta.

*

— Ba, to jedna sprawa dzisiejsza, zacna pani! Teraz ku więzieniu inszych cale grzeszników pozwólcie, którzy za grzechy swe leśne pokutują, a dzisiaj odpuszczenia win swoich dostąpią.

Leśne grzechy? Niewinien toć grzechu zwierzę leśny.

Idą, idą wałem. Fosę, napoły wyschniętą, napoły przymarznątą po kładce przejdą. Spokój tu. A z wału wtórego na lasu rubież opuszczają się. Tam szopa nędzna. W niej zasię tumult słyszno, porykiwanie stłumione. Także osłów bek schrypły, skarżący się doli-niedoli. A tam już przed szopą narodu stanęło dość. Takowych, jako pijaczyny te dwa: porosłych kozuchem włosia brudnym, owczego, oraz i człowieczego... własnego — spora gromada. Kobiet kilka czepcami świta.

Popadają na ziem, pana swego witając, gromada.

Pan zasię sam, nie przez urzędniki swoje, do wrót szopy się przybliży, a znakiem krzyża świętego znacząc je, zasuwę odciągnie.

Rzuci się światłość dnia do szopy wnętrza. A po chwili tumult buchnie, jawny już. Łańcuchy brzękną, zatapiają racie liczne i kopyta. Miarowo rozgędzi się osłów radość, a wołów poważnych ryk położy się tej pieśni dziękczynnej osnową. Prowadzą na światłość jednego po drugim więźniów latosich, zajętych w szkodzie.

— Burek! Burek!... pódź-ino!... — Ciągnie wyrostek spłoszonego tyłu osób widokiem, a przekornego z przyrodzenia kłapoucha. Wierzga zapamiętałe — i wtył się znów poda zwierzę uparty, a skóra drga na nim, jakoby go roila. Zryta pod nim ziemia święta w brózdy głębokie. Ciężkie, przymarzłe grudki leżą na sąsiady. Rozchybotanie strachem wolności tej nagłej: radość, jak lęk, powszechna.

— Ruda, hej, Ruda! nawróć się!!...

Przemieszały się postacie człowiecze z szopy mieszkańcami. Między woły a osły rozproszyli się ludkowie oni, którzy są, jako starożytni kapłani, selowie, „nóg nie mający“... a to przez szacunek dla Ziemi-Matki, nogami deptanej, co też ślady na nogach człowieczych zostawia — dostojne, mniemali kapłani.

— Między woły a osły a między prostaczki narodził się Pan — mruczy sobie do słuchu dziedzie zamku.

*

O zmierzchu — w Wigiliją — o zmierzchu... wielki mrok w komnacie wielkiej pada. Pan sędziwy potłumia zarzewie. Nie ostatni to raz? — Bóg to wie!

Stare, smutnie wystygłe paszczęki wyszczerzyły do zmierzchu kominy. Po komnacie mroczy zmierzchu popiół. Zamek cały skostniały i zimny.

Wszyscy, wszyscy — kto żyw się wrotami wysypuje na śnieg, jak mrowisko... Długim, burym się sznurem procesja rozciągnęła litanją szeptaną — ku kaplicy Maryji, co błyska różą lampy duchowną — „Ma-ri-a, gratia plena — i w zmierzchu godzinę stań żywota światłością nad nami!“

Każdy pątnik łuczywo przybliży ku Zniczowi Twojemu, Królowa!

Każdy grzesznik zwiędłemi rękoma.

W szarej śmierci skostniała godzinę.

Wszyscy, wszyscy po śniegu się wiją, skrami łuczyw drżącą procesyją... Aż po wrota się wróćą zamkowe.

...A otwórzcież się, mroczone podwoje!!

Oto niesiem łuczywo święcone! Oto Znicz, oto Znicz!!! Evoe!... Witaj, Życie! Bóg rodzi się dziś nam!

A zatli zarzewie pan — w wielkiej czeluściach komnaty. Nie ostatni to raz? — Bóg to wie!

— Któraż to już pochodnia waścina, panie?

— Dwudziesta i pierwsza ponoć, odkąd umarł dziad mój, z rodu wonezas najstarszy... No, dziatwa, teraz mi pokłękac!... teraz modlić się uczciwie: „Pater noster“...

Pokłękają pana żosselinowe dziatki. Pięcioro

ich, a żadne ponad lat ośm. Prawniki. Wzięli między siebie Emmę, Hugona, Waltera samego nawet, choć czternasty mu już rok idzie! Wszystką dziatwę pani Anny.

— Panem nostrum quotidianum da nobis hodie!...

A wtem wysunie się z za komina Ożóg srogi... a na nim uwiązane misterne toboleczki w szmatach barwistych... ..Ej! przed każdym klęczącym się pokłoni, a zdjąć tobolek prosi. Tobołów ośm. Udarowanych też ośmioro.

To komin sędziwy nie zapomniał o dziatkach w czas, gdy rodzi się Światłość świata.

— Sed libera nos a malo! — dokończy dziadek.

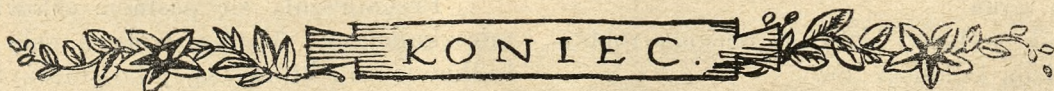
— Amen! — porwą się klęczący, łapczywie się z tobołków słodką znajomią treścią.

— Panie hrabio... a nie raczylibyście zezwolić mi teraz Fulka odwiedzić? — spyta pani Anna.

— Nie odwiedzają więźniów goście: *zwyczaju niemasz!* — burknie staruszek. — Chcecie, polewki mu żółtej zanieście. Pokarm się więźniom wieczoru Wigilijnego nosi. *Taki zwyczaj!*

*

To więc jest bajka prawdziwa o tem, co działo się w czas Wigilijny — przez długie, długie wieki -- w sędziwym zamku Thro, który pamięta Rok Pański Tysiącowy.



WYSTAWY DWÓCH MALAREK

Był długi okres, kiedy „pejzaż“, czy „martwa natura“ uważane były za „najniższy gatunek sztuki malarskiej“. Odtwarzanie dostojnego ciała ludzkiego było już przywilejem mistrzów wyższego stopnia, koronę zaś wysiłków artystycznych stanowiło tworzenie t. zw. „kompozycyj“ — religijnych, historycznych, mitologicznych — w każdym razie wielkich, zbiorowych „scen“. Przebijało w tem wartościowaniu przedewszystkiem jakgdyby naiwne przeświadczenie o

wyższości człowieka, króla stworzenia, ponad wszelkie inne objekty natury — lecz również wyrażał się i stosunek do sztuki, której celem było właśnie wszelkie przejawy życia, według niejako ich kolejności i ważności — odzwierciedlać.

Z biegiem czasu zmienił się ten stosunek. Według naszego dzisiejszego wyczucia tych spraw, nie chodzi już o *odtwarzanie*, kopjowanie, powtarzanie poprostu w gorszym, możnaby powiedzieć, wydaniu — rzeczywistości, lecz o swoiste, odrębne *przetworzenie* tej rzeczywistości, o jej wchłonięcie (przez artystę, oczywiście), a następnie przesublimowanie, przekształcenie, i zobjektywizowanie w formie gotowego dzieła sztuki — w danym wypadku, obrazu — a więc czegoś, co jest już tą rzeczywistością w innym wymiarze, co jest niejako nową rzeczywistością — *rzeczywistością artystyczną*.

I w związku z tem odmiennem pojmowaniem zasadniczego charakteru twórczości artystycznej, musiał się zmienić również nasz stosunek do obiektów tej twórczości. Dziś już nie może być mowy o „ważniejszym“, czy „godniejszym“ temacie: najbardziej błahy, a odpowiednio przez owo „sitko artystyczne“ przemielony — w rezultacie dać może obraz mistrzowski... I odwrotnie, oczywiście.

Zofja Węgierkowa (Salon Sztuki Garlińskiego) maluje przeważnie pejzaże. Taki, czy inny motyw natury jest dla niej tym pretekstem, który pozwala



Zofja Węgierkowa: ul. Lubelska w Kazimierzu.

jej budować własne, nieco egzotyczne przez swą „nieprawdopodobną” kolorowość, niepozbawione chwilkami pewnego humoru malarskiego („Niebieski domek w Kazimierzu”) kompozycje „z natury”. Te niewielkie rozmiarami prace zdradzają poważne wysiłki przede wszystkim w kierunku podtrzymania konstrukcji namalowanego obrazu, jako pewnej autonomicznej całości — jako czegoś, co, mówiąc nam o naturze, otaczającej nas, jest jednakże pewnym światem niepowtarzalnym, światem samym w sobie.

W ostatnich pracach artystki wyczuwa się coraz silniejsze tendencje do budowania również poprzez kolor — co uwidoczni się także w większym nieco różnicowaniu faktury, jakkolwiek ta ostatnia zdaje się wciąż jeszcze stać na dalszym planie. Charakterystyczne jest, że o ile dół obrazu traktowany jest już częstokroć czysto po malarsku, czuje się w nim owo „granie barwy”, tę pewną bezpośredniość w wycuciu jakości farby, w wycuciu jej czysto ma-



P. Zofja Węgierkowa



Zofja Węgierkowa: „Dziecko z małpką”.

terjalnych możliwości — o tyle góra jest zwykle jakaś martwa, „puszczona”. Wytwarza to dziwną dysharmonję. Miejmy nadzieję, że mankament ten zniknie w następnych pracach utalentowanej malarki.

W sali przy ul. Królewskiej 51 wystawia szereg obrazów olejnych i rysunków Stanisława Centnerszwerowa, malarka niezwykle kulturalna i finezyjna. Zagadnienie barwy jest ową „powszednią troską” p. Centnerszwerowej, jedną z tych trosk, które nękają każdego artystę. Centnerszwerowa zresztą z zapasów swych z owym prometeuszowym sępem wychodzi coraz częściej ręką obronną. Obrazy jej są coraz czystsze w poszczególnych tonach barwnych, a zarazem coraz bardziej złożone i mniej naiwne, jeśli chodzi o połączenia, o zespoły kolorystyczne. Najbardziej interesujące są motywy z Cesenatico, zwłaszcza „Żagle”, „Motyw z plaży”. Szkoda, że i p. Centnerszwerowa zaniedbuje nieco zagadnienie fakturowe — przynajmniej, jeżeli chodzi o pejzaże. Trzy martwe natury, które mamy sposobność oglądać na tej wystawie — zwłaszcza „Butelki” i zielone „Owoce” — są pod tym względem o wiele lepsze.

l. j.



P. RESTORFFOWA

Ś. P. AMELJA BORTNOWSKA

*Błogosławieni czystego serca,
albowim oni Boga oglądają.*

W cichem, skromnem mieszkanku, spokojnie, nieledwie z uśmiechem, oddała Bogu duszę Amelja Bortnowska, redaktorka „Gazety Świątecznej“.

Takie było całe jej życie, jak ta śmierć; taką była jej zacna dusza — uśmiechnięta, spokojna, czysta.

Każdy, kto ją choć raz widział, kto z nią chwilkę porozmawiał, odnosił wrażenie, że mówi z osobą o niezłomnej woli, o niewzruszonych zasadach życia, która, na tych fundamentach oparta, ze spokojem niezwykłym każdą rozpatrywała sprawę.

Od bardzo wczesnej młodości wzięła się ś. p. Amelja Bortnowska do pióra, a pierwszymi jej utworami były poezje.

Oto, co pisze o nich ś. p. Tadeusz Korzon do ojca p. Amelji, przyjaciela swego, w roku 1872: „List Twój i poezje p. Amelji zrobiły na moim umyśle silne wrażenie; serdecznie się cieszę wraz z Tobą i najlepsze na przyszłość wyciągam wróżby; w przesłanych mi próbach widzę zasoby niepospolitego talentu poetycznego i duszę bardzo piękną. Chcąc zadość uczynić życzeniu Twemu, udałem się do redaktorki „Bluszczu“, p. Hnickiej, bo sama jest poetką...“ — A w następnym liście: „Pani Hnicka zapewniła, że wydrukuje parę wierszy p. Amelji“.

Jakoż istotnie pierwsze utwory młodziutkiej poetki były w „Bluszczu“ drukowane.

Poza utworami oryginalnymi ś. p. Amelja Bortnowska tłumaczyła Goethego, Szyllera, Balzaka dla „Kłosów“, bardzo wówczas poczytnego tygodnika ilustrowanego, redagowanego przez Pługa, i dla „Biblioteki celniejszych utworów“, redagowanej przez Piotra Chmielowskiego.

Miała ś. p. Amelja i drugi talent: była pianistką wysokiej miary. Oba jednak talenty, zarówno poetycki, jak muzyczny, porzuciła wcześniej, od śmierci ukochanego brata nie tknęła fortepianu, a wszedłszy do skromnego lokalu redakcji „Gazety Świątecznej“, cała swój talent pisarski, całą głębię szlachetnej swej duszy oddała na usługi oświaty ludu.

Była wierną towarzyszką pracy, „prawą ręką“ Promyka, przez lat 40.

Poznałam ją w 1898 roku, kiedy, jako bardzo młoda, z nieśmiałością wielką położyłam na jej biurku pierwsze swoje utwory, dla „Gazety Świątecznej“ pisane, i odtąd widywałam ją zawsze jednakowo za pracownią, składającą obok siebie stosy listów, rękopisów, notatek, z niezrównanym porządkiem i ładem, aby je wszystkie przeczytać, poprawić, każdą, zawar-



Ś. p. Amelja Bortnowska.

ta w nich myśl sercem swoim kochającym odczuć, dać jej właściwe w „Gazecie“ miejsce; odpowiedź wyczerpującą i sumienną na każde zapytanie, radę rozumną temu, kto o nią prosił, wyjaśnienie cierpliwe temu, kto czegoś nie rozumiał, i t. d. i t. d. bez końca.

A że tysiące listów, pisanych nieumiejętnie, niewyraźnie, odczytywały jej oczy, przeto nie dziwnego, że się przedwcześnie zepsuły tak dalece, że ostatnie lata życia tylko jednym okiem widziała i to słabo, i tem jednym nadal wytrwale prowadziła swoją mrówczą pracę z ofiarnością i poświęceniem niezwykłym, pomimo, że zarówno lekarze, jak rodzina wpływali na nią wszelkimi sposobami, by zaniechała pracy redakcyjnej.

— Potrzebna jestem w „Gazecie“ i nie odejdę od niej — była jej niezłomna odpowiedź, jako też trwała przy „Gazecie“ do końca długiego swego życia.

Na dwa dni przed śmiercią, złożona długoletnią chorobą serca, jeszcze dawała wskazówki, dotyczące artykułów do ostatniego numeru pisma, i przez sen, ostatni w życiu, usta jej powtarzały:

— Tam leży jeszcze ten list, na który trzeba dać odpowiedź; szkoda, że tego artykułu dziś poprawić nie mogę.

I troszczyła się, tak, jak przez 40 lat swego życia, o każde słowo w „Gazecie“, o każdą myśl, żeby

była w duchu wskazań założyciela „Gazety” — Konrada Prószyńskiego. A sama pomieszczała swoje artykuły i powieści bezinteresownie, czasem używając podpisu: Stefan Wierycz.

Nasza uboga literatura ludowa straciła w osobie ś. p. Amelji Bortnowskiej pierwszorzędą siłę, umysł jasny, o wysokiej kulturze moralnej i wielkiej rutynie pisarskiej.

Niech jej ta polska ziemia, którą ukochała, lekka będzie, niech płyną za nią modlitwy tysięcy czytelników „Gazety”, aby po tak owocnym życiu zasłużonego dostała odpoczynku.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Ijola” — opera Piotra Rytyla w Teatrze Wielkim.

Z polską premierą spotykamy się, niestety, rzadko w Teatrze Wielkim. Na taki ewenement zdobywa się dyrekcja warszawskiej opery przeważnie raz tylko jeden w roku. Krótkie jest życie polskiej opery, najczęściej zatrute przez nieżyczliwą kompozytorowi prasę, która, zatapiając przy tej sposobności porachunki osobiste, zraża publiczność do popierania polskiej twórczości, a zbywając sprawozdanie krótką, lekceważącą recenzją, wpływa także na opinie widzów. Dlatego dyrekcja, biorąc w rachubę warunki powodzenia polskiej opery, uważa przygotowanie polskiej premiery za przedsięwzięcie ryzykowne.

Tym razem opera Piotra Rytyla spotkała się z bardzo życzliwym przyjęciem i zasłużyła na wszechstronne uznanie. Przewszystkiem wybór tekstu świadczy o smaku artystycznym kompozytora, który nie szukał dla swojej muzyki banalnych efektów libretta operowego. „Ijoli” — dramatu Żuławskiego — nie można nawet nazwać librettem. Jest to tekst przedewszystkiem literacki, głęboki jako koncepcja dramatyczna, konsekwentny w przeprowadzeniu symbolu dwoistości i logiczny w zakończeniu konfliktu, wynikającego z obyczajów średnio-wieczna.

Cztery akty dramatu złożyły się na operę, której słucha się z niesłabnącym zainteresowaniem. Muzyka Rytyla dostroiła się do silnych wrażeń dramatu. Nie jest to muzyka modernista, szukającego na karkołomnych drogach nowej formy. Ryteł obraca się w świecie muzyki znanej i uznanej, jako nieprześcignionej dotąd formy dramatycznej.

Nikt zresztą, ktokolwiek komponował po Wagnerze, nie uniknął jego wpływu, chyba, że — jak impresjonizm francuski — przeciwstawił się niemieckiej muzyce i stworzył formę daleko słabszą, bo nikłą i zbyt mizerną dla teatru. Nawet Puccini nie oparł się Wagnerowi i, ulegając wpływom orkiestry Wagnera, jako wokalista jedynie, stworzył indywidualną frazę dramatyczną i linię melodyjną, organicznie związaną z duchem muzyki włoskiej. Opery, które napisał Wolf-Ferrari i Eugenjusz d'Albert, pełne są wpływów wagnerowskich, a mimo to napisane z doskonałą rutyną, i były grane z dużym powodzeniem.

„Ijola” Rytyla jest także operą w stylu wagnerowskim. Szczególnie w pierwszej części występuje charakterystyczna chromatyka wagnerowska, która wraża się nawet w uszy przeciętnej publiczności. Polifonia muzyki Rytyla jest przeprowadzona jasno i logicznie, instrumentacja napisana ze świetną znajomością orkiestry, a linia melodyjna obraca się w sferze frazy dramatycznej i modernistycznej, z którą kompozytor obchodzi się ostrożnie, z zastrzeżeniem, aby nie wywołać jej lamliwej i niepokojącej dla ucha melodyki utworów współczesnych.

Główne partje wokalne „Ijoli” utrzymane są w wysokich

tonach górnego rejestru, a jeśli nie mają nawet oryginalnej, przekonującej linii melodyjnej, są niewątpliwie popisem dla umiejętności dramatycznej śpiewaków.

Muzyka „Ijoli” jest poważna, patetyczna, mało natomiast w tej operze ruchu scenicznego, chóru, a temsamem błyskotliwości w barwie orkiestry, która tak pociąga ucho współczesnego słuchacza. Z czterech aktów opery, efektowny jest drugi, a najlepszy — trzeci, ze sceną sądu, ponieważ akcja sceniczna ma tam żywsze tempo, a temsamem muzyka — żywszą rytmikę. Trochę przydługa jest ekspozycja pierwszego aktu, która, niezależnie od interesującej treści, sprawia wrażenie monotoni w dialogu Ijoli i Arno. Za długo trwa także zakończenie dramatu, które w operze nie straciłoby na skrócie przebiegu tragicznych wypadków.

Skróty opery są konieczne dla współczesnego słuchacza. Żyjemy bowiem w epoce ogólnego zniechęcenia i nerwowości, która nie pozwala na zbyt długie skupienie uwagi. Objaw ten jest charakterystyczny w naszych czasach, dlatego modernisci — jak Ravel, Strawiński i Falla — komponują opery i balety, przeważnie jednoaktowe, wiedząc o tem, że współcześni słuchacze z widowni operowej pragną wrażeń błyskotliwych, barwnych, o żywej rytmice (tematów ludowych), ale krótkich i nie nużących kilkuaktową ciągłością akcji. Wiedział o tem Puccini, którego „Gianni Schicchi” miał największe powodzenie, z jego trzech jednoaktowych oper.

Nie wyszukano jeszcze nowej formy operowej, ale ją znacznie skureczono, bo takie okazały się upodobania dzisiejszej publiczności.

„Ijola” Rytyla jest operą wczorajszą, o niezaprzeczonych wartościach artystycznych, jednakże jej ramy czteroaktowe muszą ulec najdalej idącym skrótom. Będzie to kompromis kompozytora z dzisiejszą publicznością, który zapewni nowej ciekawej, dekoracyjnej operze polskiej zasłużone powodzenie.

„Ijole” wystawiono bardzo starannie i z dużym nakładem pracy. Opera jest dobrze wyreżyserowana i ma bardzo stylowe dekoracje, wykonane przez Wodyńskiego.

Na czoło wykonawców wysunęła się Czapska, w partji podwójnej Ijoli—Maruny, dając kreację pod każdym względem wzorową. Świetna śpiewaczka należy do grona tych pięknych sopranów w naszej operze, które mogą być chlubą każdego teatru operowego na Zachodzie, jako najlepsza propaganda kultury muzycznej w Polsce. Są to panie: Czapska, Bandrowska, Lipowska; w epizodach operowych niezawodna jest muzykalna Karwowska, Mankiewiczówna, a srebrzysty głos Węgrzynówny ma dużo wdzięku i jasności. Z mezo-sopranów popisowym głosem jest jedynie Wermińska.

Alle zato głosy męskie przedstawiają się bardzo mizernie. Właściwie nie mamy już — i nie mamy jeszcze — podstawowego tenora. Niestety, najgorzej przedstawia się obsada barytonów i basów. Poza świeżym głosem basisty, Michałowskiego, sytuacja jest rozpaczliwa. Łudziliśmy się nabytkiem Dolnickiego, ale na jego miejsce przyszedł jeszcze jeden, którego nie słucha się z radością.

Jeśli się weźmie pod uwagę, że opera jest formą przestarzałą i jej repertuar utrzymuje się tylko świeżością pięknych głosów, które mają w operze pole do popisu, to brak ich napewno musi decydować o frekwencji w teatrze. Zdawało się, że dyrektor Stermich, kapelmistrz operowy europejskiej miary, pokieruje szczęśliwie doбором zespołu śpiewaczego, ale stało się inaczej. Narazie ściągają słuchaczy tylko sopran, które sprawiają wrażenie gościnnego występu w teatrze prowincjonalnym.

A więc, górą sopran! Teraz, w „Ijoli”, święci triumf Czapska i śpiewa przepięknie, o ile jej nie zagłusza orkiestra pod dyrekcją Dolżyckiego.

P. L.





TEATR LETNI

„Panna z dyplomacji” — lekka komedia Ives Mirand'a.

TEATR ATENEUM

„Pani prezesowa” — farsa Hennequina i Vebera — reżyserja Jana Bielicza.

Od paru tygodni idą w dwóch teatrach stołecznych dwie farsy francuskie: terenem operacyjnym jednej jest ministerstwo spraw zagranicznych, drugiej — ministerstwo sprawiedliwości, i... jakoś dotychczas nikt się nie obraził. Może dlatego, że karykatura i tu i tam jest zbyt jaskrawa, a choć pełen dobrych chęci widz skwapliwie przeprowadza analogje i weszły pieprzyk aktualności, to przecież, pomimo wszystko, mają to być stosunki francuskie i to załamane w krzywym zwierciadle szarzy.

Zachodzi tu jednak inna wątpliwość. Czy dwie farsy francuskie o bliźniaczych twarzach, dwie małpkowate „sisters” repertuaru, przekrzywiają się jednocześnie w Saskim Ogrodzie i na Powiślu — tam do burżuazji, tu do rzeszy robotniczej — czy to nie zawiele i nie za mało, jak na Warszawę?

Że Teatr Letni lansuje „Pannę z dyplomacji”, temu się dziwić nie można. Farsa jest dobra, dostatecznie głupia, w miarę zabawna, a przede wszystkim — świetnie zagrana. (Takie rzeczy należy albo świetnie grać, albo wcale nie grać).

Fertner w roli ministra, przeszedł siebie. Wyzbył się błazeńskiej szarzy, spoważniał; nie mógł wprawdzie zmienić maski i postawy, ale uwymuszył ją i uszlachetnił niejako powściągliwością gry. „Honores mutant mores”. Pan Hammelbein awansował na ministra i zapomniał o tem, że jest „nuworiszem”.

Pozostali artyści dostrajali się do tego ministerjalnego kamertonu w miarę sił i wskazówek reżyserskich. Panna Lenerówna wyglądała uroczo; szkoda, że dwie jej rywalki na niwie dyplomatycznej zrobiły z siebie skończone czupiradła, gdyż tem obniżyły niepotrzebnie skalę jej zwycięstwa.

Bay-Rydzewski w roli egzotycznego monarchy mocno szarżował. Jedyne władca Wschodu, jakiego oglądaliśmy parę lat temu w Warszawie, miał jednak więcej godności i powagi. Ten, którego zobaczyliśmy na scenie teatru Letniego, to był bulwarowy kacyk, o manierach spanoszonego dzikusa. Orwid był doskonałym typem francuskiego biurokraty.

Naogół przedstawienie można zaliczyć do rzędu zupełnie udanych i niezawodnie kasowych.

* * *

Natomiast zjawienie się „Pani Prezesowej” w Ateneum jest faktem zupełnie niezrozumiałym. Co robi to stare, roztrzęsione pudło farsowe w teatrze eksperymentalnym, w teatrze, który parę miesięcy temu zapowiedział program „górnicy i chmurny”, głosił służbę ideałom społecznym i przez szereg wieczorów martwił nas losami Józefa, Hinkemanna i Chaskiela z Bronx-Expressu? Czyżby dyrekcja Ateneum spostrzegła się, że nie można karmić publiczności jednostronnym repertuarem w tonie minor i wpaść w drugą ostateczność: w majorowy pisk katarzynki, w hołdowanie szablonowi i płaskim efektem?

Zamiast łagodnego zwrotu w kierunku pogody i prosto tv — cyrkowy koziołek, salto-mortale, które może zgubnie odbić się na opinii teatru, co miał wysoko nieść pochodnię sztuki. Tymczasem zamiast pochodni zapalono kolejno przed nami latarnie pogrzebowe, lampki szpitalne, szabasowe łójówki, a wreszcie zakopcono takim zjeżdżałym ogarkiem, że aż kwaśno

zrobiło się po tej iluminacji. Poco wyciągać z rupieciarni zużyty rekwizyt teatralny, kiedy tyle fars polskiego pióra, lepszych lub gorszych, ale w każdym razie świeżych, butwieje w t. zw. „zapasie”?

Na „Pani Prezesowej” pokazało się, jak demoralizująca i dezorientująca zarówno publiczność, jak i aktorów, jest taka nieuzasadniona zmiana frontu. Artyści chodzili po scenie, jak kolowaci. Panna Tatarkiewiczówna nie mogła zapomnieć, że już nie jest panną Murad z Bronx-Expressu i biła wschodnie pokłony z zapalem, godnym bajadery z pudełka papierosów. Pozostali artyści walczyli z trudnościami tempa bez przekonania.

Jedyną osobą, która rolę swą opracowała na poziomie europejskiej sceny, była pani Kunina. Zasłużyła na powodzenie w lepszych warunkach i w dobrze zgranym zespole. S. P. O.

Z SALI ODCZYTÓW

W okresie przedświątecznym zapanował żywy ruch odczytowy. Zdawało się jakby prelegenci chcieli wykorzystać ostatnie możliwości skupienia się i zastanowienia słuchaczy, zanim ich porwie bezmyślny szal karnawałowy.

W sali Tow. Higjenicznego chlubnie znana literatka i współpracowniczka „Bluszczu”, M. H. Szpyrkówna, wygłosiła odczyt „Cuda w Lourdes”, który zgromadził tłumy publiczności, interesującej się sprawami nadprzyrodzonymi. Odczyt został powtórzony przy przepelnionej sali. Sądząc po zainteresowaniu, jakie obudził wśród jaknajszerszych sfer, myślę, że należałoby zapoznać z nim i prowincję.

Kolo Polonistów Univ. Warszawskiego zorganizowało Wieczór twórczości kobiecej przy udziale osobistym autorek, pań: M. Dąbrowskiej, M. Kuncewiczowej, E. Szelburg-Zarembiny, oraz artystek dramatycznych: p. Ireny Solskiej i p. M. Morskiej, które wygłosiły poezję I. K. Illakowiczówny i M. Pawlikowskiej oraz prozę Z. Nalkomskiej.

Wieczór ten miał wszystkie zalety i wady, właściwe tego rodzaju imprezom zbiorowym. Był nadmiernie długi i cierpiał na przerost poszczególnych części ze szkodą innych. Nazwiska i talenty autorek i wykonawczyń zgromadziły rzeszę miłośników literatury, które w skupieniu wysłuchały utworów znanych i nieznanych.

Zrzeszenie pisarzy katolickich zorganizowało wieczór, poświęcony twórczości Stanisława Miłaszewskiego, subtelnego poety i doskonałego tłumacza „Don Juana” Zorilli. Po zagajeniu przez przewodniczącą Zrzeszenia p. Marję Rodziewiczównę, red. Jan RembIELIŃSKI poddał gruntownej analizie twórczość poety, ilustrowaną fragmentami z „Gestu wewnętrznego”, z „Farysa” i „Don Juana”, które z właściwym zrozumieniem i odczuciem odczytała znana poetka Anna SŁONCZYŃSKA.

KSIĄŻKI NADESŁANE
DO REDAKCJI

NAKLADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA.

- Jarosław Iwaszkiewicz: „Zmowa mężczyzn” — powieść.
Irena Krzywicka: „Pierwsza krew” — powieść.
Kazimiera Illakowiczówna: „Popiół i perły”.
Marja Kossak-Pawlikowska: „Profil białej damy”.
Irena Tuwim: „Miłość szczęśliwa”.
Miłosz Gembarzewski: „Pieśni słowianina”.
Jerzy Braun: „Ziemia i niebo”.
Jan Emil Skiwski: „Człowiek wśród potworów”.

Henryk Drzewiecki i Fryderyk Mecen: — Od „Czarnych skrzydeł” do czarnej koszuli. — Ze wstępem i glossami Karola Irzykowskiego.

„BLUSZCZ“ W ROKU 1930

W roku 1930, jak i w latach poprzednich, „Bluszcz“, wierny wskazaniom swych założycielek, będzie kroczył nadal drogą racjonalnej ewolucji ku wytworzeniu idealnego typu kobiety polskiej, zarówno pod względem jej wewnętrznego udoskonalenia, jak i rozszerzenia zasięgu jej konkretnej pracy, praw i obowiązków.

Zgodnie ze wzrastającym tempem życia dzisiejszego, z różniczkującymi się potrzebami chwili, „Bluszcz“ musi pomnażać i rozgałęziać swe działy, aby dać głos możliwie wszystkim brakom, pragnieniom i krzywdom świata kobiecego, aby znaleźć odpowiedź rzetelną, racjonalną i prostą na wszystkie za-
pytania i wątpliwości, nurtujące duszę współczesnej kobiety.

Z uwagi na ważność tych zagadnień, „Bluszcz“ szczególną pieczę i staraniem otoczy dział społeczny, w którym wypowiedzą się dobrze znane Czytelniczkom „Bluszczu“ pióra takich wytrawnych działaczek i obserwatorek życia zbiorowego w rodzinie, szkole, w pracy zawodowej, w stowarzyszeniach i klubach, jakeimi są:

Marja Benisławska, Z. Inaszkiewiczowa, Natalja Jastrzębska, Jadwiga Krawczyńska, dr. Marja Kuźmińska, Zofja Miszewska, J. Młodowska, Herminja Naglerowa, Janina Strzelecka, M. H. Szpyrkówna, Z. Zaleska.

W dziale literackim Czytelniczki będą miały sposobność poznać kilka utworów najlepszych piór kobiecych w Polsce, a mianowicie:

Zofji Nalkowskiej: nowelę „KOBIEITY — TAM“

Marji Kuncewiczowej: nowelę „OCZY CIEMNE“

Ewy Szelburg-Zarembiny: opowiadanie „KUZYNKI WĄDOLKOWSKIE“

poza tem utwory powieściowe *S. Borowskiej, H. Dąbrowskiej, Róży Heymanowej, M. Kastarskiej, Herminji Naglerowej, Wandy Miłaszewskiej, Morozowicz-Szczepkowskiej, M. H. Szpyrkówny, Zofji Reutt-Witkowskiej* i innych.

W dodatku powieściowym z dn. 1 stycznia rozpoczynamy druk prześlicznej książki o dziejach romantycznej miłości Elżbiety Barret i Roberta Browninga p. t.

„JAK KOCHANO PRZED STU LATY“

przez *Giorę Pisani,*

w autoryzowanym przekładzie z oryginału włoskiego *Zuzanny Rabskiej.*

W dziale poezji Czytelniczki nasze spotkają znane nazwiska:

Maryli Czerkarowskiej, K. Illakowiczówny, Felicji Kruszewskiej, Lucyny Krzemienieckiej, H. Mortkowiczówny, Marji Pawlikowskiej, Anny Słonczyńskiej, Ireny Tuwim i innych, jak również licznych młodych sił, niejednokrotnie debiutujących z powodzeniem na łamach „Bluszczu“.

Z zakresu studjów literacko-historycznych ogłosimy:

„PAMIĘTNIK PODLOTKA“

urywki z młodocianego dziennika *Narcyzy Żmichowskiej,*

rzucające ciekawe światło na rozwój płomiennej duszy znakomitej entuzjastki,

fragmenty z obszerniejszego studjum *Aurelji Wyleżyńskiej* o pierwszej paryskiej korespondentce „Bluszczu“ — *Zofji Węgierskiej* — p. t.:

„W PARYSKIEJ ZOFJÓWCE“

i studjum *Prof. Adama Czartkowskiego* o tragicznych losach Anieli Moszczyńskiej, florenckiej Beatrice Słowackiego, oparte na nieznanych dotąd źródłach archiwalnych, p. t.:

„BLADY CIEŃ FLORENCKI“

Na pograniczu beletrystyki i studjum psychologiczno-socjalnego staną dwa obrazki:

„MÓJ PODSADNY“ i „MOI NIEPOPRAWNI“

pióra pierwszej w Polsce kobiety-sędziego — p. *Wandy Grabińskiej,* napisane na podstawie obserwacji autorki w sądzie dla nieletnich.

W roku 1950 przypadają dwie znamienne rocznice: *stulecie romantyzmu i stulecie powstania listopadowego*. Pierwsza — o znaczeniu ogólnoludzkim, druga — o charakterze wyłącznie narodowym. Obydwu tym rocznicom poświęcimy *specjalne, bogato ilustrowane numery „Bluszczu“*, które stanowią będą miłą i estetyczną pamiątkę poetyckich wzlotów romantyzmu z jednej strony, oraz bohaterskiego porwy w imię wolności ludów — z drugiej.

Wychodząc z założenia, że przyszłość sprawy kobiecej leży w zespoleniu sił i działalności zbiorowej na terenie międzynarodowym, nawiązaliśmy bezpośredni kontakt z prasą kobiecą zagranicą. Niezależnie od tego, we wszystkich ważniejszych środowiskach kulturalnych na ziemskim globie posiadamy *korespondentki własne*, nadsyłające do „Bluszczu“ listy z *większych miast Polski, z krajów słowiańskich, z Paryża, z Anglii, z Włoch, z Niemiec, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, z Indyj, Tunisu, Egiptu i t. d.*, specjalnie uwzględniające sprawy emigracji naszej.

Głosy Czytelniczek, zarówno stolicy, jak prowincji, skupiają się w „NASZEJ MÓWNICY“.

która stała się już trybuną społeczną o rozległym rezonansie, skąd padają nieraz ważne słowa i decyzje w sprawach społecznych, ekonomicznych i wychowawczych, rodzą się zdrowe myśli jednostek i czyny zbiorowe, a drogą ankiet wykreśla się nowe linje postępowania dla rzeszy kobiecej.

Pomni zasady, że wrogiem wszelkiego postępu jest dyletantyzm, powierzyliśmy dział: *prawy, krytyki teatralnej i literackiej, muzyki, plastyki, kina, zdobnictwa, przemysłu ludowego, sportu, naukowej organizacji pracy, gospodarstwa domowego, racjonalnego odżywiania się, przyrządzania potraw, mody i robót kobiecych, ogrodnictwa i hodowli* — siłom fachowym i odpowiedzialnym. W dziale praktycznym znajdują Czytelniczki artykuły znanych specjalistów i specjalistek, p. p.: *Jankowskiej-Oryńzyny, M. Karczemskiej, Jadwigi Kiemnarskiej, Dr. M. Kłosińskiej, Piotra Macemicza, St. Machniewicza, Z. Prażmowskiej, Stan. Schönfelda, Prof. F. Teodorowicza, Trybuleckiego, Z. Wróblewskiej i innych.*

Dział gospodarstwa domowego prowadzi nadal doświadczona i ceniona przez Czytelniczki p. *Elżbieta*.

Raz na miesiąc dodawać będziemy bezpłatnie tak, jak poprzednio, miesięcznik ilustrowany „KULTURA CIAŁA“.

poświęcony szerzeniu kultu zdrowia fizycznego i racjonalnej kosmetyce, redagowany przez p. dr. *Julję Świtalską*.

Dążeniem naszym jest, aby każda Czytelniczka „Bluszczu“ mogła go traktować, jako pewnego rodzaju podręczną encyklopedję domową, zawierającą najpotrzebniejsze wskazówki i rady w każdej dziedzinie życia społecznego, rodzinnego i praktycznego.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KOBIETY W WALCE Z ALKOHOLIZMEM.

W ubiegłym miesiącu odbyło się w Warszawie zebranie organizacyjne Wydziału Kobiecego Pol. Tow. Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość“, na którym został omówiony szczegółowy program działalności Wydziału, mającego za zadanie pracę oświatowo-pedagogiczną: kursy instruktorskie dla działaczek społecznych, sprawa metodyki nauczania alkoholologii; propagandowo-społeczna: świetlice, domy ludowe, herbaciarnie. Jednym z głównych zadań będzie dążenie do złączenia w działalność przeciw-alkoholowej możliwie wszystkich organizacji kobiecych, bez różnicy kierunków społecznych i politycznych.

Wszelkich informacji udziela Sekretariat Wydziału: ul. Żorawia 21 m. 28, tel. 26-21 — codziennie 4—6, z wyjątkiem niedziel i świąt.

JAK PRACUJE OCHRONA KOBIET.

Przy licznych udziałach delegatek filij prowincjonalnych, członków i sympatyków odbyło się doroczne, walne zebranie Tow. Ochrony Kobiet. Pomimo wielu przeszkód, zarząd zdołał wykończyć budowę 5-cio piętrowego domu przy ul. Mokotowskiej, w którym otwarto tani internat dla 500 studentek i uczen-

nic szkół średnich; w tym samym gmachu mieszczą się sale zajęć: trykotarstwa, czapnictwa, kroju i szycia. Prócz tego, Stow. Ochrony Kobiet utrzymuje kilka burs, „Przystań“ dla moralnie zaniedbanych dziewcząt, dwa schroniska tymczasowe dla przyjezdnych, poszukujących pracy, biuro pośrednictwa pracy, misje dworcowe. Pod egidą Towarzystwa pracuje też schronisko ewangelickie i schronisko dla kształcących się pańien

NOWOCZESNA LENNICZKA.

Nigdzie chyba tradycje nie są tak szanowane, jak w Anglii. Przy całej kulturze nowoczesnej zachowane są tam na każdym kroku średniowieczne tradycje. Do jednej z ciekawszych należy „Królowa“ wyspy Sark. Małeńka ta wysepka w Kanale La Manche stanowiła kiedyś udzielne państwo lennicze w czasach feudalnych i pozostała niemi do dziś. Przed paru laty zmarł właściciel wyspy Sark, a zarząd „państwa“ objęła jedyna jego córka. Mieszkańcy wyspy, rolnicy i rybacy, składają również średniowiecznym zwyczajem, dary w naturze, wybitniejsi wchodzi do rady, tworzącej miniaturowy parlament, a królowa-wielkorządczyni płaci daninę trónowi angielskiemu, jako wierna lenniczka.

Obecnie p. Dudley Beaumont wstępuje w związki małżeńskie i z tej racji liczne pisma angielskie zamieszczają jej fotografię, zdjętą na tle jednej z malowniczych budowli wyspy.



Królowa wyspy Sark.

ANGLJA NIE WYDZIEDZICZA DZIECI NIESŁUBNYCH

Posłanka do Izby Gmin, ks. Atholl, wniosła na posiedzenie projekt zmiany ustawy o prawach dzieci niesłubnych w Szkocji, w kierunku przyznania tym dzieciom alimentów. Jeśli ten nowy bill przejdzie dla Szkocji, przyjmie go zapewne i Anglja, prawa bowiem o zaopatrzeniach dla dzieci są w obu krajach zawsze równorzędne.

WŁOSCY KAWALEROWIE NIE CHCĄ SIĘ ŻENIĆ

Włoska polityka populacyjna Mussoliniego, polegająca na otoczeniu opieką rodzin wybitnie dzietnych (w tym roku wyasygnowano na ten cel ze skarbu 72 miliony lirów) i nałożeniu podatku na kawalerów, nie osiągnęła zbyt wybitnych rezultatów. Liczba małżeństw zmalała w r. bieżącym, jak również (o 22509) liczba urodzeń.

MAGNA CHARTA MATEK.

Rada Narodowa Kobiet francuskich opracowała następujący projekt międzynarodowej karty prawa matek:

- 1) Każda matka, która odważnie przyjmuje macierzyństwo, ma prawo do szacunku
- 2) Każda matka ma prawo do wydania na świat dziecka zdrowego i silnego, przyczem macierzyństwo nie powinno pociągać dla niej jakiegokolwiek straty i przykrości, których można uniknąć.
- 3) Każda matka ma prawo do karmienia dziecka i do poświęcenia mu swych starań.
- 4) Każda matka ma prawo do utrzymywania i wychowywania swego dziecka.

6) Każda matka ma w stosunku do swych dzieci te same prawa, co ojciec.

7) Każda matka ma prawo brania udziału w życiu publicznym.

ŻYWI DZIENNIK NA ULICY.

Oryginalny zawód wybrała sobie Mrs Glover z Somersetshire: oto została wywoływaczką w mieście Axbridge. Pani Glover krąży po ulicach miasteczka, oznajmiając o zebraniach stowarzyszeń, pokazach i nowinach politycznych i miejskich. Pobiera za to od miasta opłatę w sumie dwóch szylingów za każde wyjście na miasto.

Z „PRYZYSTANI“ W GRODNIU.

Niespełna od roku istniejący w Grodnie oddział Tow. „Przystań“ zajmuje się gorliwie zorganizowaniem opieki nad dziećmi w wieku przedszkolnym i młodzieżą. W ciągu miesięcy letnich czynne były półkolonie letnie dla 50 dzieci najuboższych, żyjących w najgorszych warunkach higienicznych. Zarząd „Przystani“ projektował urządzenie przedszkola dla 100 dzieci i, o zgrozo, nie można było dla tak pożytecznej instytucji znaleźć... lokalu!

W sprawie pomocy dla starszej młodzieży zorganizowano dożywianie dzieci w szkołach i zasilki odzieżowe dla najbiedniejszych. Nadto wysłano dwie grupy młodzieży do obozów letnich w Jeziorach. Obecnie „Przystań“ przeprowadza akcję Tygodnia Dziecka, społecznie i finansowo zupełnie udaną.

PRZYDAŁYBY SIĘ I U NAS.

Amerykanki zrozumiały doskonale pilną potrzebę uświadczenia kobiet w sprawach finansowych. Wszyscy wiemy, że przeciętna kobieta nie ma pojęcia o walorach pieniężnych; giełda jest dla niej ciemną, przerażającą dżunglą, ubezpieczenia też nie o wiele jaśniej się przedstawiają, a skutek tego taki, że najczęściej kobiecie ktoś oszuka, lub ona sama siebie. Dla zapobieżenia temu katastrofalnemu nieraz stanowi rzecz, wobec rozwoju nowoczesnego życia. Związki klubów kobiecych w Ameryce organizują kursy, na których popularnie, lecz dokładnie słuchaczki ich będą zaznajamiane z kursami giełdowymi, systemem podatkowym i organizacją spółek i towarzystw finansowych.

DZIEWCZĘTA-GOŃCY.

Zgrabne i eleganckie te panienki spełniają obowiązki gońców miejskich w Londynie. Jest ich obecnie dwadzieścia.



Dziewczęta - gońcy.



Pole faliste i pagórkowate jest doskonałym terenem dla nart.

SPORTY ZIMOWE

W obecnej dobie ciągle słyszymy o nowych zwycięstwach championów w jakiejś dziedzinie sportowej. Mówi się dużo o fizycznym wychowaniu, ale pomimo to idea sportu nie przenika do szerszych mas: niema u nas zrozumienia, że to nie moda przejściowa, ale konieczność utrzymania naszego organizmu w zdrowiu, sile, że sport przyczynia się do hartowania, uodpornia przeciw chorobom, utrzymuje nas jak najdłużej w sile wieku, to znaczy, przedłuża naszą młodość.

Jakże często, zwłaszcza na prowincji, słyszymy z ust niewiasty 30 lub 30-kilko letniej, którą chcą wciągnąć do jakiegoś klubu sportowego: — Ach, jestem już za stara, ażeby teraz zacząć się uczyć jeździć na nartach, lub gimnastykować — i t. d. Ale zagranicą, zwłaszcza w Anglii, kobiety z zamiłowaniem oddają się wszystkim sportom do 50-go roku życia, a nawet i dłużej. Stąd też pochodzi długotrwała ich młodość, smukłość oraz gibkość figury.

One rozumieją, że ruch na świeżem powietrzu powoduje rozszerzenie naczyń krwionośnych, a w następstwie lepsze ukrwienie tkanek, żywszą przemianę materji, a zatem zwiększa żywotność i odporność naszego organizmu. One rozumieją, że godzina ruchu w mroźny, słoneczny dzień zimowy na nartach, sankach, czy ślizgawce — przyniesie więcej organizmowi, aniżeli gnuśnienie w ciepłym pokoju, pełnym dymu z papierosów, lub wyziewów organizmu ludzkiego. Okien przecież w zimie nie można otwierać, bo zaopatrzone, zresztą na dworze tak mroźno, brr! Otwieramy więc tylko „lufcik“, którym nie da się przewietrzyć mieszkania tak, jak na rozcież otwarte-

mi oknami i drzwiami. Wietrzenie samym „lufcikiem“ tembardziej nie odnosi pożądanego skutku, że znajduje się on zazwyczaj u dołu okna; skutek więc jest taki, że górne warstwy powietrza pozostają niezmiennione, a odświeżają się jedynie tylko dolne, nie doprowadzające świeżego powietrza do płuc.

Przyjrzyjmy się więc bliżej sportom zimowym i ich znaczeniu, a przekonamy się, że bagatelizujemy skarby, które nam w takiej obfitości dała matka-przyroda. Czegóż nam potrzeba, aby zaprawiać się w sporcie? Przedewszystkiem — dobrej woli, dalej — terenu, odpowiedniego ubrania i, ewentualnie, przyrządów, jak narty, sanki i t. d.

Teren jest wszędzie; jeśli nie w samym mieście, to zaraz za niem mamy napewno pole faliste, ewentualnie pagórki; przecież to nie muszą być odrazu szczyty Karpat lub Tatr, z których mogą korzystać tylko już naprawdę dobrzy jeźdźcy. Jeżeli teren pagórkowaty znajduje się za miastem, to przy dzisiejszych ułatwieniach komunikacyjnych (tramwaje, autobusy, kolejki dojazdowe i t. p.) niema żadnych trudności, aby do niego się dostać. W ostateczności spacer 20-to minutowy zrobi nam bardzo dobrze, gdyż jest on najlepszą zaprawą do sportu. Weźmy za przykład Warszawę. Jest to miasto, położone na równinie, a pomimo to w 15 minut tramwajem jesteśmy już na Bielanach, na terenie pagórkowatym, doskonale się nadającym do ćwiczeń sportowych dla nas, nie championów, a laików, uprawiających sport dla utrzymania ciała w zdrowiu. Cóż dopiero mówić o mniejszych miasteczkach i wsiach, gdzie przeważnie leżą odłogiem wymarzone tereny.

Ubiór—to druga klęska i wymówka dla powtarzających: „Nie mam odpowiedniego stroju, a kupienie nowej całości kosztuje dużo”. Darujcie, panie, ale ten argument nie wytrzymuje krytyki, bo czyż początkujący sportowiec musi mieć odrazu strój według przepisane go paryskiego modelu? Przy dobrych chęciach można robić cuda. Każda z pań ma wełnianą spódniczkę w zapasie, plisowaną lub kloszową, a spodeńki można bardzo łatwo zrobić ze starej sukni wełnianej, sweter, szalik i beret — i jest tania całość. Czy koniecznymi są do nart spodnie z grubego angielskiego materiału? Przecież długie spodnie kładziemy dla swobody ruchów, co można mieć również w spódnicy plisowanej, czy kloszowej.

Również i buty do nart i ślizgawki nie muszą być koniecznie specjalne, wystarczą niejednokrotnie buty turystyczne, lub te, których używamy w dnie błotniste, byleby sięgały powyżej kostki, która w nich musi mieć umocowanie. Widzimy więc, że nawet bardzo tanim kosztem, nie robiąc luki w naszym budżecie, możemy mieć strój odpowiedni.

Przyrządy, jak narty, sanki, łyżwy i t. d., również nie pociągają tak wielkiego kosztu, gdyż nie musimy kupować odrazu bobsley'a z kierownicą do sanceczkowania. Każdy stolarz zrobi nam sanki za parę złotych. Będą one nietylko tańsze, ale i mocniejsze od drogich i wymyślnych. Łyżwy można dostać już od 10 — 12 zł. za parę, a narty — od 35 zł. z wiązaniami. Pozatem wszystkie te rzeczy dostaje się po sklepach na raty i jest to wydatek jednorazowy, gdyż z roku na rok przedmioty te się przechowuje.

Z powyższego widzimy, że bez wielkiego wysiłku materialnego możemy skompletować te najważniejsze przedmioty, potrzebne do zaprawy sportowej.

Sport, który działa bezwzględnie korzystnie na cały nasz organizm, ma również swój dodatni wpływ na psychikę ludzką. Jest on nietylko bodźcem do zwiększenia naszej energii, daje nam zadowolenie wewnętrzne, radość życia i jest doskonałym lekarstwem na nasze codzienne troski.

Przez sport możemy również świetnie rozwijać stosunki towarzyskie, które w dzisiejszych czasach wymagają takiego nakładu pracy i kosztów, aby je podtrzymać przez urządzenie *five o'clock*, czarnej kawy i t. d. Znacznie praktyczniej będzie założyć wśród znajomych koło sportowe, które będzie miało za zadanie łączyć piękne z pożytecznym. Towarzystwo zbiera się w umówionym punkcie i razem idzie na narty, sanki lub ślizgawkę. Ileż tam będzie radości, śmiechu i figlów! Czyż może być coś miłszego, jak patrzeć na zaróżowione od mrozu policzki, roześmiane buzie i oczy, mówiące o pogodzie ducha, spowodowanej przez ruch na świeżym powietrzu! Jak ich łączyć będzie wspólna „niedola” przy wywróceniu się w śnieg, ku uciezce towarzyszy, albo nieudolność w wykonaniu trudnego „Telemarka” lub „Holendra” na łyżwach!



Towarzystwo spotyka się w umówionym punkcie...

Sport łączy wszystkich, starszych z młodszymi, dlatego też rodzice powinni raczej sami dzieciom towarzyszyć w uprawianiu sportu, aniżeli, pozostając w domu, denerwować się w oczekiwaniu na ich powrót, przewidując niejednokrotnie, bez przyczyny, najgorsze wypadki. Będąc z dziećmi i przyglądając się zarówno ich zabawom i uciechom, jak padaniu w śnieżny puch, sami odniosą korzyść przez przebywanie na świeżym powietrzu i branie udziału w zabawach. Początkowe drobne trudy i niedogodności, jakie pociąga za sobą każdy sport, opłacą się wielokrotnie przez wymienione poprzednio korzyści, jak hartowanie całego organizmu, zyskiwane na tężyznie mięśni, wzmacnianie ustroju nerwowego, dodatni wpływ na psychikę, cerę i wiele innych.

Wszystkie sporty zimowe nadają się dla kobiet, w odróżnieniu od niektórych sportów letnich, i mają jeszcze tę właściwość, że, raz spróbowane, pociągają swym urokiem, dając dużo emocji i zadowolenia.

Dla pięknych pań, dbających o swą cerę, trzeba wymienić jeszcze jedną dodatnią stronę sportu zimowego, a mianowicie błogosławiony wpływ czystego, mroźnego powietrza oraz słońca na cerę. Żaden róż i puder, żadne maście i galaretki nie dadzą takiej świeżości cery i nie zakonserwują jej tak, jak regularny trening na powietrzu.

W dalszych artykułach podam szczegółowe wskazówki, co do urządzania terenów, właściwości i nauki wszystkich wyżej wymienionych sportów.

Dr. Marja Klośńska.

NASZA CHOINKA

Było to dawno, blisko przed pół wiekiem! Lecz i wtedy choinka na Boże Narodzenie była tą wymarzoną rozrywką, tem najpiękniejszym zjawiskiem, o którym się śniło, jeśli nie rok cały, to przynajmniej wszystkie wieczory szarej, nudnej jesieni. I kiedy nastąpiła już prawdziwa zima, to ze śniegiem, sanna, wszystkie przejażdżki dzieci starały się kierować do lasu. Było tam tak ładnie! gałęzie drzew, pokryte szronem, lśniły, jak brylanty na słońcu. Nie piękno natury jednak nas tam ciągnęło.

Z największą ciekawością oglądałyśmy każdą równą, niezbyt wysoką choinkę, ważąc sobie w duchu, którą też z nich gajowy zetnie, a sam pan łowczy przywiezie do domu na dni parę przed wilją. Skazywaliśmy bezlitośnie na śmierć każde ładniejsze drzewko. Gdyby od nas zależały te doraźne wyroki, napewno skazałibyśmy na ścięcie całe młode pokolenie choin.

A kiedy nadszedł oczekiwany dzień, Wilji, ileż to podstępów obmyślaliśmy, aby choć jednym okiem zajrzeć do zamkniętego ze wszystkich stron salonu, gdzie Babcia, Mama, bona i panna służąca pracowały pilnie w godzinach rannych.

— Czy będzie tak wysoka, jak w roku zeszłym co to jej aż wierzchołek ściąć musiano i gwiazda była nie u góry, ale gdzieś z boku?

— Czy będzie tak wysoka, jak w roku zeszłym; pałała od świeczek? To tak ładnie pachnie — pałaca się choina, tylko starsi robią niepotrzebnie gwałt, bo się boją pożaru. Czyż taka cudna rzecz, jak choina, może spowodować pożar?!

— Czy Babcia przywiozła z Wilna te figurki cukrowe i te pierniki z naklejanymi obrazkami? Wprawdzie jeść ich nie pozwalają, gdyż są farbowane, ale tak ładnie zdobią zielone drzewko!

Takie i wiele innych pytań zadawaliśmy sobie głośno i pocichu.

Choinka nasza wyglądała zupełnie inaczej, niż dzisiejsze choinki. Nie znano wtedy ozdób szklanych, i nie umiano wyrabiać różnych przybrań ze słomy, ze skorupki od jaj, z kolorowych papierów. Z papieru złożonego wyrabiano tylko koszyczki, napelniane cukierkami i bakaljami, a za ozdobę oprócz owych niedjadalnych cukierków i pierników wileńskich, służyły złożone i srebrne orzechy włoskie. Do ich złożenia i srebrzenia bywały zwykle dopuszczane starsze dzieci.

Ale choinka nasza była tak smaczną choinką, jakiej nigdy w późniejszym życiu nie spotykałam.

Pokrywały ją od podłogi do sufitu najrozmaitsze smakołyki, przeważnie domowego wyrobu. Nawet kupne figi smażono w gęstym syropie cukrowym i dopiero ponownie osuszano, aby były wewnątrz miękkie i soczyste. Nawet daktyle napelniano marcepanową masą, migdałową, orzechową i pistacją, aby były

większe i pokaźniej wyglądały. Już mało kto zwracał uwagę na nadziewane śliwki i smażone gruszki czy jabłka. Wisiały na różowych i niebieskich wstążeczkach wianuszki migdałowe i marcepany królewskie — arcydzieła Babci — jakieś przedziwne, białe pierniczki miętowe na cukrze, nie na miodzie — pierniczki, których przepis przywiozła jedna z ciotek z wygnania na Syberji; marmeladki owocowe, ciągutki śmietankowe, orzechy włoskie, oblane karmelem i przekładane pomadką, i wiele, wiele innych rzeczy, dziś mało używanych, a które należałoby wrócić do łaski. A całą choinkę opasywał kilka razy sznur białych migdałów, lekko uprażonych i pokrytych jasnym karmelem, naprzemian z czarnymi rodzynkami.

A po wilji Mama i bona cicho wstawały od stołu, z salonu rozlegały się dźwięki kolendy: „W żłobie leży, któż pobieży kolendować Malemu“... dzieci hurmem, nie czekając aż starsi wstaną, rzucały się do drzwi szeroko otwartych i stawały oniemiale, tak zawsze równie oniemiale przed jaśniejącem setkami świeczek Bożem drzewkiem.

E. K.



REORGANIZUJMY NASZE OGNISKA DOMOWE

Dom nasz jest niczem innym, jak organizmem i, jak każdy organizm, posiada organy i sprawy wewnętrzne oraz organy i sprawy zewnętrzne, powiedziałabym — reprezentacyjne. Jest niemi umeblowanie, wnętrze naszego domu. To wnętrze, reprezentując nasze gusta i upodobania, uzewnętrznia nas i dopełnia. Do domu nie powinno się nigdy wprowadzać rzeczy przygodnych i dobieranych przez kogoś, lecz trzeba samemu wszystko obmyślić i skompletować; jeśli zaś nie posiadamy w tym względzie wyrobienia, czy też specjalnego upodobania, należy zasięgnąć zdania fachowców. Jeśli, sprawiając ubranie, idziemy do fachowca — krawcowej, czy krawca — to, meblując się, trzeba uczynić to samo, iść jednak po radę nie do meblarza, bo ten sprzeda wszystko, co mu da największy zysk, lecz do artysty.

Pierwszym, najważniejszym warunkiem umeblowania naszego domu jest *niezagracanie go*. Każdy sprzęt musi mieć swoje uzasadnienie, tolerowany w mieszkaniu może być tylko sprzęt konieczny, bez którego nie można się obyć. Wszystko inne, jako to: szafeczki, półeczki, etażereczki i inne graciki — nie mogą mieć zastosowania w mieszkaniu współczesnym, gdzie wygodą i higieną może mieć jednego tylko przymerzeńca — piękno. Jakiem więc ma być to mieszkanie, służące wygodzie i higienie?

Wejdźmy, proszę, do przeciętnego, czteropokojowego; przekonamy się, że wygodnie i higienicznie da się umeblować stosunkowo niedrogo, dlatego właśnie, że nabędziemy tylko sprzęty niezbędne. Więc: przedpokój jest niewielki, przeważnie taki, aby tylko można było przejść, Powiesimy na ścianie jednokolorowej, o wyraźnej barwie (szafir, czerwona) lustro, damy wieszaki ściennie lub stojące, linoleum lub chodnik, to wszystko — żadnych stolików, krzesełek, które wywołują ciasnotę i do niczego nie służą. Na kapełuszce urządzimy półkę nad wieszakami.

Jadalnia. Bardzo ważny pokój: w nim się prześiaduje najwięcej, w nim się przyjmuje gości; zastępuje nam już dzisiaj w bardzo wielu domach, bardzo słusznie skasowane „salony“, nie służące prawie do niczego, wyziębione w zimie, w lecie odpychające sztywnością pokrowców, zbiorniki kurzu i ziewającej nudy. Więc w jadalni ma być wesoło, ładnie i miło. Ściany odpowiednie do mebli. Jeśli meble jasne — ściany szafirowe, granatowe, zielone, malowane nie do samego sufitu, lecz w trzech czwartych; duża biała przestrzeń nad kolorem ściany stanowi wesołą i bogatą ramę dla sprzętów pokoju. Jeśli meble ciemne — ściany w kolorze terakoty, pomidora, ciemnego złota, pomarańczy. Stół, kredens, krzesła, może być jedna kanapa — oto wszystkie meble naszej jadalni. W oknach białe muślinowe lub etaminowe firanki, nie figuralne, niemieckie obrzydliwości; na stole jaskrawa makatka ludowa, na podłodze kilim lub, kto chce taniej, dywan z rogoży jednokolorowej czy deseniowej (praktyczne i tanie, wyrabiane w kraju); na kredensie kilka wazoników ludowych z gliny lub majoliki, na oknie jaskrawe kwiaty. Na kanapie może leżeć parę kolorowych poduszek. Na ścianie powiesimy parę sztychów, akwafort, lub jakąś kolorową martwą naturę, niezaduzo jednak, pamiętając o tem, że i ściany nie mogą być przeładowane, że efekt osiąga obraz lub sprzęt, pokazany osobno, na dobrem tle, nie w tłoku i gromadzie. Oczywiście, jeśli pokój jadalny jest duży, przybyć może mniejszy kredensik i jakiś stolik, ale na coś koniecznie przeznaczony, więc: pod wazon, kwiat, samowar i t. p.

Pokój sypialny jasny, słoneczny, dużo powietrza. Ściany jasne, meble jasne, jesionowe, sosnowe (piękny materiał meblowy — tylko pokostowane, nabierają z czasem żywej i mieniającej barwy bursztynu, nadają się bardzo także do jadalnych pokoi); ostatnimi czasy bardzo są w użyciu lakierowane kolorowe: białe, niebieskie, szafirowe, czerwone. Poza szafą lustrzaną i tualetą w sypialni nie powinno znajdować się więcej sprzętów. Jakiś dywan lub kilim, znów muśliny w oknie, kwiat w wazonie — to wszystko.

Obecnie nieraz każde z małżonków sypia nie w sypialni małżeńskiej, lecz we własnym pokoju, który jest jednocześnie pokojem pracy, do jej potrzeb

przystosowanym. Wtedy łóżko zastępuje się miękkim tapczanem, pokrytym narzutem; jest to system bardzo niekrepujący i dający dużo swobody osobistej, godny rozpowszechnienia, szczególnie w mieście, gdzie ciasnota mieszkania, oraz praca zawodowa kobiety uprawnia ją do swobody przebywania we własnym kącie, przyjmowania swoich, związanych z rodzajem pracy, interesantów.

Pokój dziecienny powinien być słoneczny, o białych lub jasno-kolorowych ścianach, takich samych mebelkach, bez względu na to, czy dziecko ma lat dwa, czy piętnaście. Dwuletnie śpi z matką lub boną; kilkunastoletnie uczy się, należy mu się swoboda, czyste powietrze i jaknajmniejsze zagrącenie ze względów higienicznych — więc żadnych portjer, dywanów — niewielki dywanik przed łóżkiem, pokrycie mebli z kretonu w wesołych barwach, na ścianie obrazek, przedstawiający pejzaż czy kwiaty; meble twarde (o ile dziecko jest małe — bez kantów), oto wszystko. Kolor różowy, niebieski, perłowy. Unikać tapet: są niehigieniczne, sprzyjają robactwu, gromadzeniu się kurzu; deseniami swemi wnoszą do domu niepokój i niepotrzebną konkurencję obrazom, które wtedy są kleksami na kleksach, zamiast być, jak im każe przeznaczenie, *wyłączną i celową* dekoracją naszych ścian.

Nie zapominajmy, że kuchnia — to laboratorium, decydujące o naszym zdrowiu — ma być biała, czysta, o ścianach malowanych olejno; garnki muszą być aluminiowe, nie polewane, jako odpryskujące, a więc wysoce szkodliwe dla zdrowia. Służąca ma być czysta, wykąpana; o ile możliwości nie powinna sypiać tam, gdzie gotuje.

Przebiegliśmy pokrótce nasze mieszkanie, z tem oczywiście zastrzeżeniem, że może być większe, lub mniejsze, nie powinno jednak nigdy być zagrącone, bo nadmiar sprzętów nie tylko wprowadza bezład i niepokój, ale sprzyja w najwyższym stopniu gromadzeniu kurzu — tego wroga naszego zdrowia.

Nie zapomnijmy wprowadzić do naszego domu tkanin własnego wyrobu: są tak piękne i przystępne w cenie, że niezawodnie wyrugują z handlu wyroby zagraniczne, którymi przeładowane są nasze sklepy, a nasi kupcy zachwalają je, mając na wyrobach zagranicznych często większy procent, niż na krajowych. i nieradko bojkotują towar krajowy. Nasze wyroby lniane, polskiego przemysłu ludowego, wytwórni artystycznej „Ład“ — są piękne, trwałe, wyrabiane w niezliczonych barwach, rysunkach, kombinacjach kolorów, odznaczają się szlachetnością i potrafią zaspokoić najwybredniejsze wymagania. Niezastąpione, jako pokrycia mebli, piękne kotary, portjery, serwety. Obrobione frendzlą, zastępują stare makaty. Wytwórnia „Ład“ celuje w tych wyrobach, imponując niemi już rynkom zagranicznym. Mieści się ona przy szkole Sztuk Pięknych w Warszawie na Powiślu; za-

łożona jest przez artystów, każdy wzór na makatę — to piękna kompozycja, wzorowo wykonana na miejscu na żakartowskich warsztatach.

Kilimy polskie mają już swoją ustaloną sławę, są wysoko cenione i poszukiwane na rynkach zagranicznych; wzory na nie wykonują znani mistrze sztuki dekoracyjnej, zarówno jak i młodzi artyści. Na wybór nie możemy narzekać, wszystkie na wysokim poziomie, wszystkie znane nam z Wystawy Poznańskiej.

Gdy dodamy, że mamy już i ceramikę własną, z najszerszym uwzględnieniem cudnie barwnej ceramiki ludowej, charakterystycznej dla poszczególnych części naszego kraju — dojdziemy do radosnego przekonania, że dzisiaj już możemy meblować nasze wnętrza, lub częściowo je przemeblowywać, przerabiać, odświeżać, uzupełniać, nadając im charakter polski, o co wszakże w każdej dziedzinie życia nam chodzić powinno.

Zdierajmy więc z naszych starych, brzydkim pluszem pokrytych, kanap i mebli obicia, te przeważnie secesyjne, okropne szpetoty; kryjmy je własnymi tkaninami lnianymi, o pięknych, delikatnych barwach; malujmy ściany kolorowo, wnieśmy rozśpiewane barwami kilimy nasze — a do niedawna brzydkie i bez charakteru mieszkania nabiorą rumieńca, przypomną wesołą kolorowość wsi. Zamknięci w ciasnych klatkach mieszkań miejskich, ożyjemy tchnieniem wesołości szerokich przestrzeni.

O ileż ułatwione zadanie mają ci, którzy tworzą sobie nowe gniazda! Nie mając za sobą starych i często niemiłych sprzętów, ozdobią mieszkancko swoje, berwnie, wesoło, z szerokim uwzględnieniem sztuki ludowej. Meblujmy się tak, aby cudzoziemiec, gdy wejdzie w nasze progi, mógł powiedzieć: więc to jest Polska! — Pamiętajmy, że i my, gdy jedziemy zagranicę, szukamy odrębności i charakteru odwiedzanego kraju, i to nas najwięcej zachwyca.

Nie zapominajmy więc o naszych odrębnościach i naszym charakterze, zbierajmy go skrzętnie do naszych wnętrz — jest to naszą legitymacją w ogólnym dorobku kulturalnym narodów, jest dowodem naszej żywotności, zdolności i słusznej dumy.

„Pewuka“ wykazała nasz wielki dorobek w każdej dziedzinie życia; to był pokaz, przegląd, słuszne podsumowanie naszych możliwości. Mamy bogactwa naturalne, przemysł, sztukę, mamy talenty, siły, energię — pokażmy teraz, że nasze zapotrzebowanie wewnętrzne pozwoli rozwinąć się tym ogromnym siłom, któreśmy zademonstrowali.

Na każdym polu potrafimy zaspokoić nawet wygórowane zapotrzebowania, zaspokajając je tylko w granicach własnej wytwórczości. To już nie patryjotyzm — to tylko dobrze zrozumiany własny interes, materialny i moralny.

mar.-mor.

ZUPA, CZY LEGUMINA

Żyjemy dzisiaj wszyscy pod znakiem oszczędności — cnoty, obecnie koniecznej, którą jednak nie każdy stosować potrafi.

Trzy czwarte budżetu każdej rodziny przechodzi przez ręce gospodyni, pani domu, żony i matki, od niej więc zależy wprowadzanie w czyn owej sławetnej oszczędności.

I tu się dzieją nieraz rzeczy przedziwne: oszczędza się, oczywiście, przedewszystkiem na przedmiotach zbytku, ale za przedmioty zbytku uważane są wcale nie te, które najdrożej kosztują, ale te, które dawne pokolenia uważały poniekąd za zbędne.

Więc, przy odżywianiu, za zbytek uważane są owoce, słodczyce, leguminy. Szczególnie te leguminy są specjalnie prześladowane.

Jeżeli budżet danej rodziny nie pozwala na tradycyjne trzy dania, z których się zwykle składa obiad rodziny średnio zamożnej — skreśla się przedewszystkiem sałatę i drugą jarzynę (pozostają zwykle kartofle, makarony, kluski i kasze), odpadają słodkie groszki, karotki, kalafjory i t. p. Kasuje się dalej niedzielny kompot do pieczystego. A potem idzie — ku szczeremu zmartwieniu dzieci, a często i dorosłych — legumina. Dzieci i dorośli coraz mniej spożywają owoców i cukru — cukru w zaprawie do sałaty, w słodkich jarzynach, w kompotach i w leguminach. A ten cukier — te kryształki życia, jak je nazywają uczeni niemieccy — to warunek prawidłowego rozwoju kości u dziecka, to najskuteczniejsza odżywka dla pracującego umysłowo inteligenta.

Kiedy, zmuszeni nieubłaganymi warunkami ekonomicznymi, redukujemy swe wydatki, moglibyśmy zacząć od — zupy. Ten mocny wywar z mięsa lub kości nie ma właściwie dużych własności odżywczych. Artretykom i wszelkim cierpiętnikom o nieprawidłowej przemianie materji (a któż po latach, powiedzmy, czterdziestu, jest z tą przemianą w porządku?) mocne zupy szkodzą. Przywykliśmy do nich. Trudno zaprzeczyć, że niektóre z nich są bardzo smaczne, lecz właśnie te bardzo smaczne są i bardzo kosztowne; te różne zupy rakowe, szparagowe, zółwiowe, chłodniki z rakowemi szyjkami nie wracają codziennie na stół urzędnika lub wojskowego, zmuszonego liczyć się z wydatkami i możliwie je ograniczać.

Nawet zwykły rosół — potrawa nieomal codzienna w Polsce — jest właściwie daniem bardzo kosztownym. Nietyle ze względu na użyte doń produkty — bo sztuka mięsa stanowi obfite drugie danie — lecz na długi czas gotowania, te trzy do czterech godzin dozoru nad garnkiem, aby go wczas zszumować, aby mu nie dać wykipieć, no i na tę ogromną ilość węgla, wypalanego w ciągu tych godzin. Francuskie gospodynie, doskonale umiejące obliczać i swój czas ceniące nadewszystko, rosół swój („pot-au-feu“) gotują raz na tydzień, w niedzielę.

U nas zupy, jeżeli się już bez nich obejść nie można, należałoby jadać przeważnie owocowe. Przygotowanie ich wymaga bardzo mało czasu, a co zatem idzie, mało opału. Latem i jesienią możemy na nie używać wszelkie świeże owoce, zimą owoce konserwowane, a przede wszystkim suszone. Ten susz należy w pierw namoczyć w zimnej wodzie na dobę całą, a ugotuje się równie prędko, jak owoc świeży. Jeśli chcemy, aby taka zupa była pożywna, nie żałujmy do niej cukru; zaprawmy ją śmietaną i dodajmy kluseczki krajane lub kładzione.

To rada dla tych gospodyń, co uważają, że bez zupy niema obiadu. Te inne niech raczej zwrócą swą uwagę w kierunku smacznych i pożywnych, słodkich legumin. Angliści, najzdrowszy i najsilniejszy naród, zupy prawie nie znają, natomiast codziennie na obiad mają swoje pudding lub „pie“ (czytaj: „paj“), a na pierwsze śniadanie już jedzą „pan-cakes“ (czytaj: „pen-keks“), czyli racuszki, obficie pokryte jamem (dżemem), marmeladą lub galaretą owocową. My tylko, polacy, mający własny, bardzo tani cukier (kilo cukru kosztuje przeszło o połowę mniej, niż kilo mięsa i tylko półtora raza tyle, co kilo mąki) — nierozsądnie zaczynamy naszą oszczędność od zmniejszenia ilości cukru w naszym pożywieniu.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

RACUSZKI KARTOFLANE NA SŁODKO.

Pół kilo ugotowanych dnia poprzedniego kartofli przepuścić przez maszynkę, lub przetrzeć przez sito. Dziesięć deka masła utrzeć na śmietaną, dodać dwa jaja, dziesięć deka cukru, ucierać razem do białości. Dodać trochę otartej skórki cytrynowej, przetarte kartofle, soli na koniec noża i ucierać jeszcze z dziesięć minut. Uformować z tej masy zgrabne racuszki. Smażyć na obfitym szmalcu lub na maśle. Podawać gorące, obsypane cukrem z cynamonem. Do tych racuszków można podać jakiegobądź konfitury, lub syrop owocowy, albo też gorący sos szodonowy, waniliowy, a nawet owocowy.

LEGUMINA NIEGOTOWANA.

Ułożyć w salaterce warstwę lekkich biszkopcików, podawanych zwykle do czekolady. Skropić je

kieliszkiem likieru maraskino lub abricotino, posypać grubą warstwą kruchych jabłek, cieniuchno uszatkowanych (antonówek lub renet). Jabłka polać jakimibądź konfiturami i znów kieliszkiem likieru. Wynieść na chłód na godzinę lub więcej. Kwaterkę kremowej śmietanki ubić na pianę, zmieszać z dwiema łyżkami cukru, utłuczonego z wanilią i z łyżką orzechów włoskich, lub tureckich, drobno utartych. Kremem tym pokryć leguminę i natychmiast podać.

MAKARONIKI.

Dwadzieścia deka migdałów słodkich i dziesięć sztuk gorzkich sparzyć, obrać z łupinek, opłókać, doskonale obsuszyć i zemleć na maszynie. Dwadzieścia deka cukru-pudru zmieszać dokładnie z temi migdałami. Trzy białka ubić na sztywną pianę, zmieszać prędko z migdałami, układać na papierze, wysmarowanym woskiem, małe, równe kupki. Na każdym ciastku położyć naskos pasek smażonej skórki pomarańczowej. Upiec w niezbyt gorącym piecu, aby się tylko leciuchno zrumieniły. Na noc wstawić w letni piec, żeby zupełnie uschły. Gdyby trudno odstawały od papieru, zmoczyć odwrotną jego stronę zimną wodą. Po kilku minutach dadzą się zdjąć doskonale.

ORZECHE W MIODZIE.

Dziesięć deka orzechów włoskich, dwadzieścia orzechów laskowych i dwadzieścia uprażonych orzechów ziemnych (żydków) zemleć razem. Zrumienić szklanekę cukru i szklanekę miodu. Dwa lub trzy białka ubić na pianę i trzymać na pogotowiu. Orzechy wsypać do miodu i smażyć, pilnie miesząc, aby się nie przypaliły. Włożyć sztywną pianę z białek, zagotować razem, nie przestając mieszać. Gdy piana opadnie, rozsmarować cieniuchną warstwą na opłatki, przykryć drugimi opłatkami. Przycisnąć deseczkami. Gdy ostygną, pokrajać na zręczne kawałki rozmiaru zwykłych cukierków. Te przysmaczki należy używać prędko: stojąc czas dłuższy, odwodnią ją i staną się lepiałe.

Pani Elżbieta.

SPROSTOWANIE

W przepisie na kremik z manny (artykuł „Zasady racjonalnego gotowania dla chorych i ozdrowieńców”).

Zamiast 1 szkl. manny — pół szklanki manny.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Aby wyleczyć, trzeba wiedzieć, co boli (w od-
powiedzi p. Bronisławowi P.)

Zapytuje Sz. Pan, czy nie zawiele feminizmu, ha-
seł bojowych, skarg nie na czasie? Czy celowa jest
walka kobiety o równouprawnienie, gdy już je zdo-
była?

Trudno podejrzewać dzisiejszą kobietę, by wal-
czyła o rzeczy już zdobyte, by tak nierozsądnie mar-
nowała swe siły; zaszło więc widocznie nieporozumie-
nie. Gdy uważnie raz jeszcze przeczytamy wszyst-
kie głosy skargi, to znowu głosy, które w sprawie
obrony kobiety w małżeństwie tak żywo i gorąco się
odzywały, to przekonamy się, że nie chęć walki, ale
chęć obrony rodziny była głównym celem tej, tak już
długo trwającej dysputy.

Dyskusja, która tak żywo zajęła czytelniczki
„Bluszczu“, to „Szczęście w małżeństwie“ i „Czy ko-
bieta, mężatka, ma pracować zarobkowo?“. Widocz-
nie te dwa pytania są bardzo ważne i aktualne, kie-
dy już od paru miesięcy toczy się na ten temat wy-
miana zdań. I nic dziwnego, widzimy, że życie ro-
dzinne uległo wielkim zmianom, że kobieta wyszła
z domu, i że skutki tego są dla rodzin często fatalne,
pociągając za sobą takie dramaty dusz dziecięcych,
jakie po mistrzowsku okazuje nam p. Naglerowa
w swej powieści „Zawalidroga“.

Weźmy bezstronnie pod rozwagę obecne stano-
wisko kobiety mężatki. Nie chcąc się powtarzać,
wspomnę tylko, że kobieta, która nie umie, lub nie
chce się odpowiednio postawić (co, jak wiemy, wy-
maga wiele niezupełnie szczerých zabiegów, a częste
i wybiegów), to praca jej, nie zamieniona na pewną
określoną sumę, jest nieuznana i lekceważona.

Cóż jej z tego, że wewnątrz ma głębokie
przekonanie, iż spełnia swe obowiązki wedle swych
sił, a czasem i ponad siły? nie ochroni jej to od wielu
upokorzeń i goryczy. Bo mężczyzna swoją pracę za-
mienia na gotówkę i staje się panem sytuacji. Nawet
nie bardzo dziwić się należy, że praca, nigdy nie
obliczona, przestaje być brana w rachubę, bo nawet
kłopotliwe byłoby określenie, jaką właściwie sumę
wpisać na dobro kobiety, jako współnika.

Małżeństwo jest do dziś jedyną formą życia ro-
dzinnego, a co zatem idzie, podstawą społeczeństwa.
Tylko, że ta forma, która dotychczas była wystarczają-
cą, dziś zupełnie lub częściowo zaczyna się rozpa-
dać, świadczy o tem ogromna liczba rozwodów,
a jeszcze większa nieszczęśliwych małżeństw. Dla-
czego dzisiejsze kobiety poprostu masowo uciekają od
małżeństwa, przekładając trud ciężkiej pracy i w re-
zultacie wielką samotność w starości, nad życie ro-

dzinne? Oto pytanie, na które musi się znaleźć od-
powiedź.

Dlatego dysputa powinna być stale otwarta
i każda z nas powinna zabrać w sprawie tak ważnej
głos. To, że jak w każdej dyspucie, są zdania krań-
cowe i umiarkowane, to jest zupełnie naturalne: prze-
ba się dowiedzieć, co boli, by wyleczyć, a tu leczyć
należy bezzwłocznie. Te głosy, które dotąd się ode-
zwały, odsoniły wiele powodów tej masowej dezercji
kobiet od domowego ogniska.

Jest jeszcze jedna przyczyna, może nie tak na-
razie widoczna, ale która jest najważniejsza, to psy-
chika powojennego mężczyzny. Jeżeli już o niej mó-
wimy, to nadewszystko uderza nas stosunek męża do
kobiety, która ma zostać matką. Jego stanowisko, ja-
ko ojca, jest conajmniej dziwne. Wszyscy bez wy-
jątku mężczyźni, których znałam, znosili ojcostwo, ja-
ko dopust Boży, z wyraźną pretensją do kobiety,
jakby ona była przyczyną tej nieprzyjemności!

I przyznać trzeba, że kobieta, kiedy stan jej sta-
je się widoczny, dzięki właśnie tej dziwnej pretensji,
zaczyna pędzić życie, podobne życiu kaleki i to nie
budzącej współczucie, ale kaleki śmiesznej. Mężczy-
zna zupełnie otwarcie okazuje, że krępujące jest dla
niego pokazywanie się publicznie w towarzystwie żo-
ny. Jej dolegliwości stale go niecierpliwia i irytują.
A należy już do bardzo szlachetnych, gdy jej nie wy-
pomina, że zbrzydła, lub nie umiła sobie doznanej
„krzywdy“ flirtem z kim innym.

Cóż więc dziwnego, że kobieta broni się przed
tą kwarantanną życiową? Czy dziwić się należy, że
przepracowana, schorowana, skazana na wieczną mę-
czarnię w walce o środki materialne i bezcelową wal-
kę z tysiącem drobiazgów, zazdrości wolnej kobiecie.

I jeszcze jeden rys, zupełnie już nowoczesny:
oto poprostu dzisiejszy mężczyzna wymaga pracy za-
robkowej od kobiety.

Dlatego śmiesznem wydaje się pytanie, „czy ko-
bieta zamężna ma pracować zarobkowo“: pracować
musi, bo tak złożyły się stosunki, i tego już się nie
zmieni. Kobieta dzisiejsza stanowczo nie potrafiłaby
zająć stanowiska jakiegoś uprzywilejowanego bawi-
dełka, na to nie pozwoli jej poczucie człowieczeństwa.
Ale nie może dać zrobić z siebie męczennicy, podej-
mować obowiązków, które nietylko przechodzą jej
siły, ale wysączają powoli zdrowie i energję. Dzisiej-
sza kobieta chce być w rodzinie współnikiem i przyja-
cielem mężczyzny, chce ponosić wspólnie trudy i pra-
cę, chce jednak korzystać z praw, należnych czło-
wiekowi.

I tu właśnie zachodzi nieporozumienie między
mężczyzną i kobietą. Dlatego należy nam się wypo-

wiedzieć wzajemnie i szczerze, aby potem nastąpiło porozumienie i sprawiedliwy podział pracy i obowiązków. Miejmy nadzieję, że potrafimy tą drogą wstrzymać upadek rodziny i wspólnymi siłami pracować będziemy dla jej dobra. *Hanka z Małopolski.*

Pokuta, czy błogosławieństwo (w odpowiedzi p. Jadwidze Krawczyńskiej).

Artykuł mój, p. t. „Pokutujące Magdaleny“, wywołał tak ostrą replikę p. Krawczyńskiej, że pozwałam sobie odpowiedzieć jej, wyjaśniając pewne punkty sporne.

Przedewszystkiem, na czoło repliki wysuwa się kwestja litości w stosunku do nieślubnych matek. Nie jest to w tej sprawie zagadnienie zasadnicze, lecz biorę je za punkt wyjścia, bo z tej litości uczyniono mi poważny zarzut. Sądzę, że litujemy się nad tymi, którym się dzieje krzywda, a sama p. Krawczyńska dowodzi, że społeczeństwo i prawo nie odnosi się tak, jak należy, do nieślubnych matek. Więc? Czyż moja litość jest tak bardzo nie na miejscu, skoro lituję się nad temi kobietami, zupełnie w myśl zasad p. Krawczyńskiej.

Co do tego poniżania, to niezupełnie rozumiem, jaka jest w tym wypadku ta litość poniżająca. Mam współczucie dla tych kobiet, bo są nieszczęśliwe, niezależnie od ich winy, niewinności, czy nawet wyższości nad innymi, jak tego chce moja szanowna przeciwniczka.

Myślę, że ten ostatni punkt płynie ze zbyt idealnego, niezyciowego poglądu na sprawę. Pani Krawczyńska twierdzi, że kobiety te są godne wielkiego szacunku, bo wykładnikiem ich czynu jest miłość. Droga Pani! czy to nie jest troszkę naciąganie faktów do swoich tez? Punktem wyjścia jest w większości wypadków (w tej sferze kobiet) instynkt, bo często matka nie wie, jak się nazywa ojciec jej dziecka, a o świadomości czynu nawet niema mowy. A przytem, jeżeli chodzi o tak potępione wyrachowanie, to znowu zagadnienie wkracza na inne tory, gdy weźmiemy pod uwagę sprawę dziecka, jako jednostki.

Jeżeliby się nawet zgodziła, że kobieta w wypadku nieślubnego macierzyństwa, jest pełna wielkiej, poświęcającej się miłości, to nie mogę jej gloryfikować za to, że rzuca swoje dziecko na pastwę nędzy. Żona legalna, dla której pani Krawczyńska ma tyle pogardy (Boże! dlaczego?), jeżeli nawet rachuje, choć zdaje mi się, że jest to skrajna przesada, to rachuje tylko ze względu na dziecko. Bo nonsensem byłoby mówić dziś, w okresie materjalnej samodzielności kobiet, że wychodzi się zamaż dla zapewnienia sobie bytu.

Najważniejszym zagadnieniem jest uchronienie od złych ewentualności dziecka, a matki nieślubne grzeszą pod tym względem karygodnym egoizmem. Wolno samej skazywać się na całopalenie w imię czegoś drogiego sercu, ale nie wolno poświęcać dziecka. Nie licuje to nawet z dumą kobiety-matki, o której pisze pani Krawczyńska. Nie wiem, może patrzyliśmy na to innymi oczami, ale ja tej dumy nie widzia-

łam, przeciwnie: przygnębienie, rozpacz, wstyd, zrezygnowana miłość do dziecka, ale nigdy duma. Bo jednak te kobiety nie mają zupełnie świadomości swego posłannictwa. I nie są to matki świadome jeszcze pod jednym względem: oto dziecko jest dla nich zawsze tylko przykrym wypadkiem, a nie upragnionem szczęściem. I myślę, że to jest właśnie zasadnicza różnica między matką ślubną, a nieślubną. I kto wie, może dlatego zapłata za to jest cierpienie?

Czy to będzie ekspiacja za grzech? Stoję na stanowisku, że tak. Bo czemuż jest właściwie małżeństwo? Biorąc sprawę jaknajszerzej, powiedzmy, że jest formą prawną, regulującą stosunek mężczyzny do dziecka. Tak, właśnie *do dziecka*, bo kobieta nie jest tu najważniejsza. Najważniejsze jest dziecko, a przekroczenie prawa małżeństwa jest przekroczeniem jego prawa, jest winą. Nie wychodzę napewno z zasad ciasnej mieszczańskiej moralności i katechizmowego grzechu. Kobieta na swoje barki może brać wszystko, ale ni ewolno jej nie wkładać na barki dziecka. Wina jej jest winą bezprawia, a macierzyństwo nielegalne cierpieniem, ekspiacją.

W jednym tylko mogę się zgodzić z moją szanowną przeciwniczką, a mianowicie w tem, że macierzyństwo, jako takie, nie jest grzechem: ale pozwolę sobie przytoczyć zdanie z mojego artykułu: „Macierzyństwo takie czy inne, legalne czy nielegalne, nie jest grzechem, gdyż samo, jako takie, jest ekspiacją i udoskonaleniem“. Chyba wystarczy?

Trzeba walczyć o prawa nieślubnych dzieci, ale jednocześnie nad temi, co jeszcze tych praw nie mają, trzeba roztoczyć opiekę. Może być, że „Ratujmy Niemowlęta“ jest tylko plasterkiem, ale plasterkiem bardzo kojącym. Bo czyż, czekając na wydanie mądrych, dobrych praw, mamy założyć bezczynnie ręce w obawie, że zrobimy za mało?

Na zakończenie chcę jeszcze nadmienić: spotkał mnie szalony zarzut, że... piszę o tem, czego nie przeżywałam. Mój Boże, nie wszystko można przeżywać, o czem się pisze; czasem musi wystarczyć przemyślenie pewnych zagadnień. W przeciwnym razie, czemuż musiał być reporter dziennika, prowadzący dział kryminalny? Strach pomyśleć!

Mam wrażenie, że pewne punkty sporne między mną, a moją szanowną i miłą przeciwniczką, są należycie wyjaśnione. *Zofja Miszewska. Warszawa.*

Z Augustowa.

Dobrze jest, gdy w szarzyźnie codziennego życia uderzy mocny ton prawd, wyłowionych z głębi ludzkiej niedoli, ludzkich przeżyć, dobrze jest, gdy akordem silnym zabrmi głos człowieka wyzwolonego i bratnie echa do wtóru powoła; dlatego dobrze się stało, że na prośbę Zarządu Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet w Augustowie, zawitała do naszego miasteczka ze swym odczytem o „Zadaniach kobiety w pracy społecznej“ p. Janina Strzelecka.

W pysznej formie słowa rozwinęła prelegentka przed oczyma słuchaczy płci obojga, zebranych w sali Klubu Wioślarskiego, obrazy niedoli i nędzy rodzin, pozbawionych dachu, lub stłoczonych w ciasnych i wilgotnych izbach; strasznej krzywdy dziewcząt, porywanych jako przedmiot handlu; obrazy bohater-skiego wysiłku kobiet, wystających w okresie wojny w „ogonkach“ dla zdobycia nędznej strawy dla dzieci, lub w mece nie-

przespanych nocy, w dobie dzisiejszej, rozwiązujących trudne zadanie z wieloma niewiadomymi, jak za 500 zł. miesięcznie załatać wszystkie dziury w budżecie domowym. Wykazała prelegentka błędy w twórczym wysiłku zbiorowej pracy społecznej, niedociągnięcia i przewiny w typie dzisiejszej kobiety, po to, aby gorącym apelem i wskazaniem obowiązków, do szeregów kobiet współczesnych zebrane słuchaczki powołać.

Ze słowa p. Janiny Strzeleckiej potrzebne nam były i nie przebrzmiały bez echa, dowodem są wszystkie dyskusje, jakie nazajutrz w cichym miasteczku wybuchły, a że w dyskusji rodzi się myśl, a z myśli powstaje czyn, przeto jesteśmy na dobrej drodze.

Na dobrej drodze czynu stanęła też, otwarta staraniem Związku Obyw. Pracy Kobiet, szkoła kroju, szycia i haftu, licząca 26 uczennic (dużo, na terenie małego miasteczka), bo uczy 26 obywaterek pracy i zdolności liczenia na własne siły, jest więc naprawdę rzetelnym wyrazem dobrze pojętej pracy społecznej.

Lucja Mościcka — Augustów.

„Jak postępować?” (w odpowiedzi na artykuł pani W. M.)

1. W stosunku do dziecka o nawykach takich, jak Pani pisze, radziłabym zająć następujące stanowisko: Zastanowić się nad tem, jakie wady to dziecko posiada, zrobić sobie nieomal schemat ich, wyszukać największą. Przygotować sobie szereg opowiadań w dziedzinie zainteresowań dziecka i dawać mu je codziennie. W opowiadaniach tych ująć tę wadę tak, by dziecko samo ujrzało różnicę zła i dobra. Porozmawiać z dzieckiem na temat złego postępku i skłonić, by samo, na podstawie słyszanych opowiadań, czyn swój zgańło. Wymaga to już wyższego rozwoju, ale skoro jest wychowane w środowisku inteligentniejszym, to można spróbować.

W omawianych punktach mam na myśli rugowanie tylko jednej lub dwu wad naraz. Nie radziłabym bezwzględnie wszystkich wad leczyć odrazu, gdyż dziecku, któremu wszystko było wolno, nie można odrazu wszystkiego zabronić, praca pójdzie na marne, można jedynie powoli, ale z całą konsekwencją zmierzać do celu.

Bardzo dobrym czynnikiem wychowawczym będzie powierzenie dziecku pewnych drobnych, zajmujących je i odpowiedzialnych czynności, oczywiście pod naszym, chociaż niby nie widzącym okiem, takich jednak, by też pozostawały w pewnym związku ze zwalczaną przez nas wadą.

Wreszcie duże znaczenie mieć będzie wprowadzenie dziecka w krainę gier i zabaw, takich jednak, by były dostosowane do jego wieku, zajmowały je i, co najważniejsza, by *nasz współudział w nich był konieczny*. Dziecko będzie czuło zależność pewną od danej osoby, a my możemy użyć tego, jako materiału pewnego rodzaju nagród, względnie „kar”.

Nie wyobrażam sobie, by możliwe było całkowite usunięcie rodziców od wychowania dziecka. Myślę, że cały szereg matek, czy ojców nie zgodziłby się na to. W tym zwłaszcza wypadku rodziców trzeba wziąć do pomocy, przedstawić im swój plan, dzielić się z nimi swymi spostrzeżeniami i postawić im za warunek: „Albo mi pomożecie, albo mi nie przeszkadzajcie!” I znowu konsekwentnie wskazywać, na co mają w danym okresie czasu baczyć, by jeden chwast z duszy dziecka wyrzucić.

Nie wiem, czy moje rady przemówią Pani do przekonania, gdyby jednak i gdyby Pani zechciała jakiej rady, proszę się zwrócić do mnie wprost pod adresem:

Stanisława Osnińska — naucz. P. S. N. Ż. Chelm, lub Ogrodowa 22.

Nasza ankieta gospodarcza.

- 1) Wszystkie zakupy załatwiam zawsze sama.
- 2) Artykuły spożywcze kupuję w jednym sklepie. Garderobę w różnych. Wolę jednak firmę stałą, gdyż wskutek tego właściciele poznają gust swego klienta i starają się o towar w jego guście.
- 3) Wyroby trykotarskie zagraniczne są lepsze od naszych. Jeżeli weźmiemy pod uwagę pończochy jedwabne, za-

graniczne są trwalsze, długo się noszą i wskutek tego ogromnie się oplacają.

6) Wskutek tego, iż w miastach prowincjonalnych jest załedwie kilka sklepów polskich, często musi się kupować u izraelitów. Stwierdzam więc, iż w firmach polskich, pomimo tego, że jest o kilka groszy drożej, dostaje się zawsze solidniejszy materiał, dobre opakowanie i grzeczne traktowanie klientów. Firmy żydowskie natomiast chętniej udzielają kredytów, nawet długoterminowych. W obecnych warunkach kredyt jest konieczny, lecz dobrze byłoby, gdybyśmy nie byli zmuszeni chodzić do firm żydowskich.

10) W naszym mieście chciałabym widzieć bazar wyrobów artystycznych, zdobnictwa ludowego i t. p. Często odczuwam się brak takich przedmiotów, jak kilimki, chustki o motywach ludowych, ładnie wykonane zabawki dziecinne, rzeźby zdobnicze i t. p.

Pola Pamłowska — Krasnystaw.

1. Większe sprawunki załatwiam sama lub z mężem, artykuły spożywcze pierwszej potrzeby, jak pieczywo i mięso, kupuje służąca.

2. Mam swych stałych dostawców, włącznie do sklepów spożywczych, i dlatego towar, który dostaję, jest zawsze dobry, gdyż każdy kupiec liczy się ze stałą klientelą.

Rzadko kupuję przygodnie, ale chętnie przeglądam ogłoszenia, często według nich kupując. Dotychczas ogłoszenia mnie nie zawiodły.

5. Wyroby zagraniczne lepsze są w perfumerji. Poza tem tak często kupujemy, jako zagraniczne, sukno, trykotaże, jedwabie, które w rzeczywistości są najwyczejniej krajowemi. Nasze sukno, jedwab, płótno, galanterja, zaspakajają w zupełności moje wymagania.

4. Sposób życia tutejszych mieszkańców jest tak odrębny od warunków w innych dzielnicach kraju, że w związku z tem wiele artykułów w handlu brakuje.

5. Reklamuję w sferach kierujących i w sklepach przy każdej okazji, lecz braki i wady są tak zakorzenione i „przedawnione”, że ludność zdaje się ich nie widzieć.

6. Waga dobra, traktowanie klientów dobre, kredyt ogromnie ułatwiony. Plagą tutejszą są sklepiki i sklepiczki. Kolonialne nazywają się „bazarami owocowemi”, w których jest wszystko, do śledzi, nici i nafty włącznie, prócz owoców. W tych oto, uczciwie brudnych „bazarach” kupuje się rano pieczywo, przywożone z piekarń, których jest naogół w mieście mało i gdzie nikt nie kupuje. A zatem pieczywo przechodzi przez kilka par brudnych rąk.

7. Ogłoszenia zawsze przeglądam, kierując się nimi i, jak powiedziałam wyżej, nie zawiodłam się dotychczas.

8. W „Bluszczu” pragnę ogłoszeń przede wszystkim o sprzętach i narzędziach, ułatwiających nam pracę domową, narzędziach kuchennych (aluminjowych), poza tem o wszystkim, co potrzebne jest w domu. Pisma kobiece winne pomóc nam zorientować się w firmach, dać duży ich wybór, gdyż i mąż najczęściej załatwia sprawunki tam, gdzie mu żona wskazuje. Dotychczas nie mogłam, na przykład, doczekać się w „Bluszczu” ogłoszenia firmy fortepianów i pianin.

9. Sprowadzić można do mniejszego miasta prawie wszystko, jedynie po garderobę trzeba jechać samej.

10. Na marginesie tej ankiety chciałabym poruszyć na szą bolączkę: sprzedaż uliczną i targową. Krzyżać musimy, domagać się, aby czynniki, uzdrawiające stan sanitarny naszych miast, zwrócili uwagę na warunki sprzedaży ulicznej.

Sklepy, sklepiczki wystawiają wprost na chodniki pieczywo, ciastka, cukierki. Przykrycia najczęściej wogóle niema, sprzedający są odrażająco brudni. Poza tem tu u nas specjalnie rozpowszechniona jest sprzedaż tak zwanych „po polsku” „precli” (obwarzanki). Sprzedają przeważnie żydzi, chłopcy lub mężczyźni, brudni i obdarci do tego stopnia, że omijać ich trzeba zdaleka, by się z nimi nie zetknąć. Kosze swe (nieprzykryte) stawiają na chodniki w kurzu lub błocie (10 cm. wysokiem), brudnemi rękoma przebiegając w owych preclach. Dziwny widok przedstawiają panie z inteligencji (przeważnie ruskiej), które dzieciom te przysmaki kupują, a i same, czy to w kinie czy na ulicy, je zjadają.

O, warszawianki! gdybyście tak obejrzały nasze targi!

L. Ch. — Drohobycz

